



Nr. 1.

LWÓW.

1898.

Słowo Polskie

wychodzi dwa razy dziennie.

WYDAWCA: STANISŁAW SZCZEPANOWSKI.

Wydanie ranne

wychodzi

o godz. 7¹/₂ rano

i przynosi:

najświeższe depesze telegr.,
ostatnie wiadomości z wie-
czornej poczty,
ostatnie kursa giełdowe
sprawozdania teatralne,
kronikę miejscową, krajową
i zagraniczną z ostatnich
godzin,
feljeton,
jakoteż fachowe artykuły
z różnych dziedzin.



Wydanie popołudn.

wychodzi

o godzinie 3.

i podaje:

obraz wypadków polityczn.,
artykuły w sprawach kraj.
obfita kronikę krajową i zagr.,
dwa feljetony,
depesze z dnia bieżącego,
krytykę teatralną,
przegląd artyst. i naukowy,
najświeższe wiadomości eko-
nomiczne i handl. wraz
z kursami wszystkich
ważniejszych giełd.



PRENUMERATA WYNOŚI:

we Lwowie:

miesięcznie 1 złr., z 2-kro-
tną dost. do domu zł. 1'30.

Numer pojedynczy

wydania porannego . 2 ct.
" wieczornego . 3 "
oba wydania razem . 4 "

Na prowincyi:

rocznie złr. 13'20
kwartalnie 3'30
miesięcznie 1'10

z 2-krotną wysyłką:

rocznie złr. 16'—
kwartalnie 4'—
miesięcznie 1'35

Numer pojedynczy

wydania porannego . 3 ct.
" wieczornego . 4 "
oba wydania razem . 5 "

W Niemczech: mies. m. 2'50.

W innych krajach: mies. fr. 4.

Ogłoszenia (inseraty)

za 1 wiersz petitowy lub jego miejsce
10 ct.



1898.

Adres „Słowa Polskiego“

Lwów, Chorażczyzna 17.



Cena egzemplarza noworocznego 10 ct.

Fabryka pieców kaflowych

JANA LEWIŃSKIEGO

we Lwowie — Kantor: ul. Kopernika nr. 18

Kaflowe piece i kominki, kuchnie i wanny kąpielowe. — Terrakota i majolika budowlana. — Płytki szamotowe na posadzki. — Rury szteingutowe. — Nasady na kominy. — Mączka szamotowa — Głina. ogniotrwała.

Gips prażony mialki i płyty gipsowe na ścianki, poleca jako specjalnie swój fabrykat. Cement i inne artykuły budowlane.

Na sprzedaż parcele pod wille i kamienice, oraz wille gotowe na Kastelówce we Lwowie.

Fabryka dachówek maszynowych

Jana LEWIŃSKIEGO, AL. DOMASZEWICZA i Sp.

we Lwowie, ul. Janowska.

Dachówki francuskie prasowane, mające prócz podłużnych także poprzeczne fałce i podwójne nosy naturalne, dymione i terowane. — Cegły fasadowe prasowane. — Cegielki okładzinowe o różnych profilach i kolorach. — Rury drenowe o przekroju od 4—16 ctm.

WSZELKIE PISMA

krajowe i zagraniczne t. j. polityczne, naukowe, fachowe, humorystyczne, ilustracje, żurnale młód, najdogodniej prenumerować w biurze gazet i ogłoszeń

A. GLSZEWSKIEGO

Lwów, ulica Kilińskiego 1. 2. —
(naprzeciw kawiarni Wiedeńskiej).

Zamówione pisma dostarczam najwcześniej i regularnie. Pisma tygodniowe, dwutygodniowe i miesięczne wysyłam także na prowincję. Przyjmuje ogłoszenia do wszystkich pism, po cenach możliwie najniższych. Polecam wielki wybór książeczek do nabożeństwa i kalendarzy.

Russella towarzyskie podróże na Wschód!

Tania osobna podróż 1. lutego 1898.

Do Hiszpanii i Portugalii! Na Riwierę i na Korsykę! Do Włoch!

Programy i wyjaśnienia darmo!

Russell & Spółka.

Specjalne biuro dla podróży towarzyskich, Wien I.
Franz Josefsquai 5a, Budapest Erzsébet-Körut 52.



Piekarnia higieniczna

MARCIŃA

CZYŻEKA

we Lwowie



zaopatrz swe sklepy w specjalne pieczywo na święta „Bożego narodzenia”, a to: **struclę krajowe** od 25 do 50 ct. **struclę luksusowe** od 50 ctm. do 1 złr. 50 ctm., **struclę higieniczne** po 50 ctm.

Sklepy: Rynek 27. — pl. Akademicki 2.

„Panna Siekierczanka“

przez **Abgar - Soltana**

do nabycia w administracji **Słowa Polskiego** i we wszystkich księgarniach po **1 zł.**



HERBATA

rzeczywiście chińska przez Rosję sprowadzana o wybornym smaku, 4 wymienione gatunki. Pakiet 125 gramów:

Nektar książęcy 55 ct., Bukiet królewski ztr. 1—, Perta Chin 75 ct., Kwiat cesarski ztr. 1:25.

Także wyborny RUM i wymieniony KONIAK prawdziwy francuski w trzech gatunkach.

SAMOWARY oryginalne, rosyjskie, prawdziwe Woroncowskie, mosiężne, tombakowe lub niklowe we wszystkich wielkościach i rozmaitych fasonach. Także czarki i taeki pod samowary.

Kazimierz Lewicki, Lwów, Trybunalska.



Zakład fotograficzny
E. T. Jurkiewicza
w Kołomyi (dom własny)
wykonuje fotografie
do wielkości naturalnej
za cenę **6 zł.**

z każdej nadesłanej fotografii z gwarancją zupełnego podobieństwa.
Prospecta gratis i franco.

Urzędnik państwowy

wiek 32 lat, posiadający prócz **studiów prawniczych** i blisko dziesięcioletniej praktyki administracyjnej, także **praktykę gospodarczo-rolniczą** i praktykę w zawodzie **przemysłowym**, nie widząc dla siebie przyszłości w dalszej służbie rządowej wobec anormalnych warunków pracy i odbierającego ochotę do dalszej pracy **systemu protekcyjnego**, pragnie zmienić zawód i objąć albo **zarząd naczelny większego majątku ziemskiego** albo znacniejszego **przedsiębiorstwa** u poważnej firmy lub osobistości, za stałą płacą lub **tantymą** i dłuższym kontraktem. Może złożyć **kauce** i przedstawić **dowody uzdolnienia**, tudzież **najlepsze referencye**. Informacji bliższej udzieli z grzecznością Wiel. adwokat dr. Jan Steczkowski. Lwów, ul. Kościuszki 4.

Wydawnictwo groszowe imienia „TADEUSZA KOŚCIUSZKI“ w Krakowie, ul. Szpitalna 1. 7.

poleca następujące dziełka:

„GOSPODARZ“

ilustrowany kalendarz „Wydawnictwa groszowego“ na r. 1898. Cena 30 ct. (z przes. 35 ct. dla „Kółek roln.“ i Czytelń lud.) 25 ct. z przesyłką poczt. 30 ct. przy większych zamówieniach jeszcze taniej.

Całość obejmuje około 14 arkuszy druku (oprócz ogłoszeń) i zawiera mnóstwo artykułów przeróżnej treści, z których ważniejsze są: „W nowym roku“ (wiersze), „Gdzieśmy byli przed 50 laty, a gdzie dziś jesteśmy“ p. Bojki, „Krwawe dni Warszawy“ „Jakób Bojko“ sylwetka z portretem przez Romualde Baudouin, powiastki: „Nagroda poświęcenia“ „Szczęście tylko w ojczyźnej ziemi“, „Chrześcianie w cyrku N rona“ przez Henryka Sienkiewicza; Zyciorysy Jana Kochanowskiego i Adama Mickiewicza „W piwniczej izbie“ p. M. Kopnicką, „Jeszcze Polska nie zginęła“ przez Włose. Kmieć, „Sprawa ludowa w Polsce“ (we wszystkich trzech zaborach), „Jak należy się obchodzić z mniejszymi ranami, aby uniknąć zakażenia krwi“ i artykuły rolnicze: „O chowie królików i przyrządzeniu z nich potraw“ p. Kułakowskiego, „Poprawianie sadów“ i „O uprawie kapusty“ p. J. Brzezińskiego, prof. Uniw. Jagiell. „O zasiewach“. Nadto znajdują się w „Gospodarzu“ „Bajki i powiastki Sabaly“, liczne żarty i figle (z obrazkami), dokładne przepisy i informacje i t. d. Kalendarz ten jest odpowiedni dla wszystkich.

Wydawnictwo ozdobi kilkadziesiąt pięknych obrazków, a nadto jako bezpłatny dodatek jest dołączony duży obraz znakomitego malarza Wojciecha Kossaka p. t. **Wspomnienie z lat dziecinnych** (z Warszawy w r. 1861).

2. Pieśni narodowe,

wydanie V., obejmujące 66 najpiękniejszych pieśni patriot. 5 ct.

6. Złota Wółka,

obrazek wiejski przez J. Świętkę 5 ct.

7. Pieśni narodowe z muzyką

do śpiewu i na fortepian w opracowaniu utalentowanego kompozytora M. Świerzyńskiego po 75 ct. Dla pp. nauczycieli, uczniów, włościan i pp. organizmów oddaje wydawnictwo te pieśni po 50 ct.

8. Dzieje Polski w ostatnich stu latach,

z obrazkami, część I, przez K. Wojnarę, str. 96, cena 15 ct. Dziełko to stanowi dla siebie całość, gdyż zawiera historię naszą porządkowaną w zaborze rosyjskim aż do roku 1895.

15—20 O zachowaniu zdrowia.

Sześć książeczek napisanych p. Dra Bujwida, prof. Uniw. O przyczynach i zapobieganiu chorobom zaraźliwym po 3 ct. Jak pokarmy i napoje są najzdrowsze, po 3 ct. Jak należy urządzać pomieszkanie, aby uniknąć chorób, po 3 ct. O tytoniu i napojach alkoholowych, po 3 ct. Jak otrzymać dobrą wodę do picia. Znaczenie wodociągów i kanionów, po 3 ct. Jak ratować w nagłych wypadkach zachorowantą po 3 ct.

21. Losy Jacka Kozika,

opowieść wiejska z pod Moskali przez Żmurskiego 4 ct. **22—27 Jak się objawia życie ludzkie i przez co się utrzymuje.**

Dra Jana Zanietowskiego, asystenta Uniw. Jagiell. Pod tym tytułem wyszło sześć książeczek, a jaki cel mają, to już sama nazwa wskazuje. Cena po 4 ct. Książkowe wydanie tych broszurek razem w jednym ładnym dziełku, obejmującym 128 str. kosztuje 30 ct.

W książeczkach tych znajduje się 30 obrazków, przedstawiających mózg ludzki, serce, płuca, żołądek, oko i t. d.

29. Gawędy z przeszłości.

Piękne opowiadanie wierszem z dziejów Polski przez Stanisł. Mazurę 3 ct.

30. Maciek w powstaniu.

Prześliczna nowelka z powstania w r. 1863 przez Gryffa, jednego z najznakomitszych polskich pisarzy, z dodatkiem historii powstania narodowego w r. 1863, przez K. Wojnarę i 3 pięknymi obrazkami. (Str. 64). Cena 10 ct. Inne dziełka „Wydawnictwa groszowego“ wyczerpane.

Do nabycia w księgarniach.

Adres zamówień:

„Wydawnictwo groszowe“ w Krakowie.

TYGODNIK ilustrowany, literacko-artystyczny, naukowy i społeczny

wychodzi w **KRAKOWIE** w każdą sobotę

kwartalnie (z przesyłką **2 złr. 60 ct.**)

Abonować można we wszystkich księgarniach i biurach dzienników, oraz w Administracji.

Najtańsze ilustrowane
wytworne pismo polskie.

Numery okazowe zawsze
bezpłatnie na żądanie.

„ŻYCIE“

Kraków, Łobzowska 27.

Przy zmianie roku życząc wszystkim naszym Szanownym odbiorcom wszelkich pomyślności, dziękujemy za dotychczasowe okazane nam względy, upraszamy nadal o poparcie naszej młodej firmy z głębokim szacunkiem

J. Friedrich i A. Beacock

Specjalny skład farb, lakierów, pokostów i artykułów domowo-gospodarczych

Lwów, ul. ul. Hetmańska 1. 4 obok cukierni W-go Grossa.

Rok 1898.

Wychodzi 2 razy dziennie
z wyjątkiem niedziel
rano o godz. 7½ i popoł. o godz. 3.

PRENUMERATA WYNOŚI:

We Lwowie:
miesięcz. 1 zł. z 2-krotną dost. do domu 1.80
Na prowincyi:
początek 18. 20 ct. z 2-krotną wysyłką 16 zł.
kwartał 3 zł. 20 ct. „ „ 4 „
miesięcz. 1 „ 10 „ „ 1.35 „
W Niemczech: miesięcz. 1 zł. 50 ct.
W innych krajach: „ 2 zł.

Słowo Polskie

OGŁOSZENIA

(Inseraty)

za 1 wiersz petitory albo jego miejsce 10 c

Numer pojedynczy:

We Lwowie: Naprawa:
wydania rannego 3 ct. 5 ct.
wieczornego 3 „ 4 „
oba wydania razem 4 „ 5 „
Rękopisów redakcyi nie zwraca.

Adres „Słowa Polskiego“

L w ó w, ulica Chorażczyzna 1. 17
TELEFON 541.

Wydawca: STANISŁAW SZCZEPANOWSKI.

Na powitanie nowego roku 1898.

Nowego roku świt błyska z oddali;
Już ustępują przed nim mroki szare;
Że nową jutrznię młody rok zapali:
Żywimy wiare!

Choć biją wichry od germańskiej ściany,
Naszej stałości niech nic nie zachwieje;
Że przejdą burze, ścichną huragany:
Miejmy nadzieję!

Choć świat dziś ku nam nienawiścią dysze,
Miejmy, jak mieli dawni chrześcijanie,
Dla ideałów, które pierś kołysze
Umiłowanie!

Bo trzy potęgi są, co wszystko kruszą:
Wiara, co wszelką zwycięża zawilść;
Nadzieja, która tej wiary jest duszą,
A dźwignią — miłość!

Władysław Bełza.



Obrazunki polityczne za rok 1897.

W pewnych okresach ściśle rozmiarzonego przeprowadza się w gospodarstwie publicznym i prywatnym ogólny bilans zysków i strat, wyniki tych zestawień bilansuje się i w ostatecznym rezultacie wyprowadza się saldo na korzyść lub na niekorzyść danej jednostki gospodarczej. Żaden kupiec ani bankier bez takiego zestawienia zysków i strat nie miałby wyobrażenia o stanie swoich majątkowych interesów.

Państwa i kraje, związki samorządne i stowarzyszenia prowadzą także coroczne rachunki, całe armie urzędników zestawiają je cyfrowo.

Życie polityczne narodu, które nie ma samostanowienia państwowego bytu, a przecież jest zamkniętą całością i odrębnym organizmem, życie narodu rozbitego na kilka zupełnie odrębnych terytoriów i organizmów państwowych, składa się z różnorodnych momentów, zawarte jest w licznych objawach etnograficznych, społecznych i politycznych, przedstawia olbrzymi kompleks faktów określonych i imponderabilii, niedających się ująć w objawy zewnętrzne. Przeprowadzenie ścisłego bilansu za pewien ściśle odmierzony okres czasu, zestawienie materialnych i moralnych zysków i strat narodowych, wymaga sumiennej znajomości szczegółów i pokonania trudności, leżących w nas i poza nami. Brak obiektywnego sądu i nadwyżka przesądów i uprzedzeń naszego otoczenia zadanie to utrudnia. Zdaje się, że tym wewnętrzny trudnościom przypisać należy, iż powołani do takiej pracy, zwykłe się od niej usuwają, a wszelkie w literaturze naszej przechowane próby rachunków politycznych, mimo pierwszorzędnych talentów porywających się na nie, zwykłe nie udawały się.

Pisze się u nas nieraz, owszem, bardzo często rozmaite świąteczne rozmyślenia. Bywają to zwykłe polityczne rozważania mniej lub więcej piękne w moralizatorskim i bardzo patetycznym tonie trzymane. Przyzwyczailiśmy się do tych świątecznych uwag, a jak mile brzmią nam w uchu, tak chętnie je mimo ucha puszczamy, uważając za jakiś obowiązkowy rodzaj tradycyjnych zwyczajów świątecznych. To jest złe. To nas przyzwyczaja do frazesu, to nas z nim oswaja i potem sami nie wiemy, jak bez pewnych górnobrzmiących słów, po za którymi nie ma żadnej myśli pozytywnej, już się obyć nie umiemy. Mielibyśmy całe okresy panowania frazesu, całe miesiące panowania jakiegoś górnobrzmiącego hasła, potem ono mijało, ludzie trzeźweli i wytrzeźweli. To także złe, bo się z tego urabia jakaś licytacja frazesów, kto ta więcej? kto powie szumniej? Dygnitarze już się z nich obrać nie mogą. Mijała już te złe nawyki

minionej doby, zaczyna się w trzeźwiejszych głowach wyrabiać potrzeba samoistnego sądu, wyrobionego nie na podstawie jakiegoś suflowanego hasła, które komus na coś może być potrzebne, lecz na podstawie własnego sądu. Jeżeli kiedy, to dzisiaj potrzeba jasnego zdawania sobie sprawy i samoistnego sądu jest dla nas konieczna.

Nastają dla narodu polskiego chwile, w których wypadki historyczne nakazują nam z każdego położenia bardzo i bardzo jasno zdawać sobie sprawę, a od trzeźwości i rozważań społeczeństwa polskiego i od jego postanowień zależeć będzie w znacznej mierze kierunek jego losów. A odnosi się to do stosunków życia narodowego we wszystkich trzech zaborach. Od szeregu lat, może od lat dziesięć nie było dla społeczeństwa polskiego na całym obszarze ziem polskich poważniejszej chwili jak obecna. Rok ubiegły będzie rokiem historycznym dla spraw polskich we wszystkich trzech zaborach. W Wielkopolsce, w Prusach Zachodnich i na Górnym Śląsku walka eksterminacyjna, przesładowanie języka polskiego, dobieranie się do podstaw życia politycznego, do wolności prawa zgromadzeń publicznych i stowarzyszeń. Od pierwszego dnia rozpraw w Izbie posłów pruskiej, w styczniu 1897, aż do wczorajszej wiadomości o przedłożeniu rządowym, podnoszącym fundusz gadzinowy do prowadzenia walki eksterminacyjnej z żywiołem polskim z 100 milionów marek do 200 milionów marek: jeden nieprzerwany ciąg przesładowań i samowoli brutalnej.

W Królestwie Polskiem i w prowincjach zabranych wszczął się jakiś ruch nowy i znów data tych zmian nieważkich, tych imponderabilii politycznych rozpoczyna się w styczniu r. 1897 w dniu Nowego Roku starego stylu, w dniu zamianowania księcia Aleksandra Imerytyńskiego naczelnikiem Królestwa Polskiego.

W Galicji i na Śląsku austriackim rok ubiegły — to rok także historyczny. Wielki ruch ludowy obudzony.

Wybory marcowe z całym aparatem agitacji, nie wzdrygającej się przed żadnym środkiem terroryzmu, wypadki parlamentarne, historia gabinetu upadłego, wreszcie obecne położenie na rozdwoju dwu kierunków — wszystko historia roku 1897.

Powodów dość, aby się tym sprawom roku 1897 w trzech zaborach polskich przyjrzeć z bliska, bilans strat i zysków zestawić i zamknięcie rachunkowe pociągnąć.

* * *

Jak wiele ubiegłych lat, a może w większej jeszcze od nich mierze, rok 1897 pozwala zapisać jako stanowczy nabytek: pobudzenie szerokich warstw ludowych do życia narodowego. Ze wszystkich prac i wszystkich usiłowań polskich na całym obszarze ziem naszej bije płomienna miłość ojczyzny, uderza niestrudzona praca nad uspołecznieniem i unarodowieniem ludu, usilna troska nad wzmocnieniem podstaw narodowego bytu, sumienne wysiłki nad przysporzeniem narodowej armii milionów nowych serc i głów. Tam, gdzie kierunek woli narodowej może się ujawniać w urządzeniach publicznych, a także i tam, gdzie on jest jeszcze utajony i ujarzmiony, wszędzie wyładowuje się siła działania społecznego w kierunku podnoszenia dobrobytu ludu i szerzenia oświaty narodowej, ochrony słabych przed wyzyskiem możniejszych, organizacji sprawiedliwości społecznej na zasadzie chrześcijańskiej miłości.

Na wszystkich polach pracy publicznej widoczne są ślady pozytywnej pracy około budowania podstaw narodowego bytu.

Widoczny gorący zapal do pracy publicznej i do ofiar publicznych. W tych dziedzinach, w których życie polityczne bije żywszym tempem w Wielkopolsce i w Prusach Zachodnich, na Śląsku górnym i na Śląsku austriackim, w Galicji zachodniej a nawet we wschodniej, jesteśmy świadkami obudzonego lub budzącego się ruchu ludowego, który najszersze przebiegając rozmiary, staje się tą opoką, o którą rozbijają się piekielne zamiary polityki eksterminacyjnej, prowadzonej z barbarzyńskim zaślepieniem i konsekwencją krzyżacką.

Wszystkie przesładowania, wymyślone w systematycznych głowach ministrów pruskich, wszystkie arkana polityki Bismarkowskiej, v. der Reckow, Bossów i jak się oni nazywają, wszystkie bezprawia Hakatystów: cała ta złość i nienawiść kolonistów pruskich, rozbija się o żywiołową siłę chłopów polskiego, o jego przywiązanie do wiary, języka i ziemi ojców i dziadów. Chłop polski drwi sobie z wszystkich systemów polityki eksterminacyjnej, śmieje się z argumentów pana Bossego i Miquela, aż mu się uszy

trzęsą: on pracuje, rośnie w liczbę i siłę, odmierza plugiem stary zagon ojcowski, odniemcza zatracony niegdyś Śląsk, pcha się pod samo serce Brandenburski, wie, że się ostoi.

Na drodze wytrwałej pracy i wewnętrznej poprawy Polska posuwa się stale do dalszego rozwoju kulturowego i dąży do narodowego odrodzenia.

Zakuta w trumnę, ale dumna,

Bo jej nie może objąć trumna,

zostawia za sobą gasnące mroki XIX. wieku i z nie zachwianą wiarą w przyszłość idzie zwycięska, liczebnie zdwojona, duchowo pokrzepiona i odmłodzona ku przeznaczeniom dziejowym XX. wieku.

Z doświadczeń przeszłości wyciągnęło społeczeństwo polskie poważną naukę na przyszłość. Ośmnastomilionowy naród polski wychodzi z krwawych doświadczeń i najcięższych prób, pełen siły i wiary w swoją przyszłość.

Wiara w siebie, naprawa wewnętrzna i na prawa społeczną, oto rycerska dzisiejszego dnia postawa.

Codzienna, wytrwała i sumienna praca, mnożenie zasobów materialnych i duchowe uczestnictwo czynne w postępach nauk i umiejętności, utrzymanie myśli polskiej na poziomie myśli europejskiej, owszem szlachetne z nią współzawodnictwo są świadectwem naszego udziału w pochodzie kulturowym i cywilizacyjnym.

Myśl polska obejmowała w tym wieku szersze horyzonty, nauka polska mimo najtrudniejszych warunków, dotrzymywała kroku postępowi europejskiej wiedzy, sztuka polska nieprzeczuwane święciła tryumfy.

Przeżyliśmy epokę zwątpienia i rozpacz, która ogarniała naród polski po ostatniej bohaterskiej walce o niepodległość. Pokonaliśmy wszystkie zmozy pessimizmu i zwątpienia chorych, rozstrojonych dusz....

Mieliliśmy odwagę jęczać się znużonej, szarej codziennej pracy i mamy dziś przed sobą pierwsze jej owoce w podniesionej wierze w przyszłość i zaufaniu do sił własnych. Wyrzekliśmy się próżnych skarg i niemięskich narzekań. Z wiarą w przyszłość wzięliśmy się do pracy u podstaw w tem głębokim przekonaniu, że tylko wiara i praca niesie dobrodziejstwa narodowi, moralność społeczeństwu, miłość rodzinie i szczęście jednostkom.

Wytrwajmy.

I.

Wielkopolska, Prusy Zachodnie i Górny Śląsk.

Obecna polityka rządu pruskiego w obec Polaków jest bezwzględny powrót do systemu bismarkowskiego.

Każdy dzień przynosił dowody nowych krzywd, nowych nadużyć, na których określenie prozes Koła polskiego w Izbie pruskiej p. Mottly znalazł jedynie odpowiednie miano: „samowoli, graniczącej z barbarzyństwem“.

Przy znanej niestałości prądów w Berlinie, wiadomo, jak długo potrwa ten duch antypolski, przez cały rok 1897 jednak rząd pruski prowadził z nami walkę na noże.

Ministrowie pruscy von der Recke, Bosse i Miquel stanęli otwarcie po stronie hakatystów.

Jednym z głównych podżegaczy przeciw Polakom był dyrektor ministerstwa oświaty dr. Kügler, który urosł na polonofobii i zwalczaniu Polaków.

Rozpoczęła się nowa kampania antypolska, przeprowadzona w drobnych na pozór podjazdowych utarczках, skierowanych głównie przeciw budzeniu świadomości narodowej i Polaków na Górnym Śląsku i w Zachodnich Prusach.

Po tryumfie odniesionym w roku zeszłym w sprawie barw prowincjonalnych Wielkiego Ks. Poznańskiego zapragnął minister spraw wewnętrznych pan v. d. Recke zdobyć sobie ostrogę w obozie antypolskim w innej dziedzinie. Zaczął rozprawiać zgrozmadzenia ludowe, obradujące w Beniszwie, Bytomiu i Wieszawie, w Górnym Śląsku, pod pozorem, że urzędnicy nie rozumieją języka „wasserpolnisch“.

Nastąpiła 14 grudnia 1896 interpelacja centrum, a dnia 8 i 9 stycznia 1897 głośna debata nad pełną ignorancją i arogancją odpowiedzią ministra v. der Recke.

Minister spraw wewnętrznych w Prusach von der Recke, figura bismarkowskiej klidy, w którym agrarzyści i antysemita szczególnie pokładali nadzieję, następcą osławionego reakcyonisty Küllera.

augurował wobec Polaków erę szykan i przyśladowań, samowoli i policyjnego gwałtu, chcąc tym sposobem naprawić „błędy Capriwi“ego,“ którego o sympatyje dla Polaków posądzono.

Dnia 8 stycznia pruska Izba poselska zajmowała się interpelacją posła Stephana z centrum w sprawie rozwiązywania polskich zgromadzeń ludowych na Szląsku pruskim, z powodu, że rozprawy w tych zgromadzeniach w języku polskim były prowadzone.

Minister spraw wewnętrznych pan v. d. Recke, przyznał, że stało się to z powodu jego rozporządzeń, a przy tej sposobności wyłożył pan v. d. Recke zapatrywania lingwistyczne, które swą ignorancją zdziwienie wzbudziły w całej nieuprzedzonej opinii publicznej.

Pan minister odmówił językowi polskiemu, używanemu przez lud polski na Szląsku, znamion języka polskiego i zaliczył go do kategorii narzecza *Wasserpölnisch*, w przeciwstawieniu do języka polskiego, który nazywał *hochpölnisch*.

Rozpoczęła się dyskusja w Izbie posłów pruskich na temat *Plattpölnisches patois*.

Urzednicy pruscy, zdaniem pana ministra, nie są obowiązani być polyglotami i znać wszystkie polskie narzecza, a ponieważ policyja pruska narzecza *wasserpölnisch* nie zna, (my także) więc zgromadzenia ludowe polskie na Szląsku musiały być zakazanymi.

Na wniosek posła szląskiego z centrum p. Le-tochy, Izba pruska postanowiła nad tą zdumiewającą odpowiedzią pana von der Recke przeprowadzić dyskusję, Rickert i Munckel z partii wolnomyślniej, Wolczyk i Kirsch z centrum przedrwiwali wywody pana ministra, a prezes Koła polskiego p. Motty ponuczył pana ministra, że ludność górnego Szląska od wieków mówi po polsku, nie można więc przedstawić języka polskiego jako obcego na Szląsku.

Pruski junker von der Recke miał tę smutną odwagę wskrzesić widmo praw wyjątkowych dla Polaków i przy poparciu frakcji konserwatywnych junkrów w Izbie pruskiej, zagroził Polakom na Szląsku bismarkowskim „*ausrotten*“.

Dnie 21 i 22 stycznia 1897 zaznaczyły się wybitnie w dziejach parlamentaryzmu polskiego w Berlinie.

Tak energicznej obrony, jak ta, którą wypowiedzieli wówczas posłowie Stanisław Motty i Leon Czarlinski dawno w Izbie nie słyszano. Poseł Motty publicznie cisnął rządowi pruskiemu i skonfederowanemu z nim hakatystom te słowa:

„W zamierzonej przeszłości były prześladowania chrześcijan za Nerona i Dyoklecjana. W końcu XIX. wieku chlubić się będzie państwo pruskie że systematycznie inscenowało prześladowania swoich polskich poddanych“.

Posł Leon Czarlinski powiedział 28 stycznia: „Chcieć odebrać narodowi polskiemu jego język ojczysty, to także ze stanowiska kultury i cywilizacji niemieckiej jest monstrualnością“.

Nie skończyły się na tem debaty polskie w Izbie berlińskiej.

Od 10 — 12 lutego trwa trzydniowa zacięta walka przy drugim czytaniu etatu ministerstwa pana v. d. Recke.

Dni te w kronice sejmowej nazwać można polskimi dniami.

Niemiec, poseł poznański p. Jaeckel, miał odwagę w imieniu uczciwego i honorowego obywatelstwa niemieckiego, cisnął rządowi i hakatystom zarzut „że hecę antypolską uprawiają tylko junkrzy i „streberzy“, że minister swemi mowami i zarządzeniami przyczynia się do tej hecy, której wybryki p. Jaeckel przedstawił na przykładzie Carnapa i brutalnej burdy opaleniczej.

Z miejsca jął tedy hakatysta Tiedemann z Babilomstu wymyślać p. Jaecklowi od zdrajców ojczyzny niemieckiej, całkiem jak pan Wolf Ebenhochowi.

27 marca postowie Mizerski i Głębocki podnieśli wniosek o zniesienie komisji kolonizacyjnej. Poseł Im Walle z centrum zajął się sprawą polską i nazwał ustawę kolonizacyjną „krzyczącą niesprawiedliwością“, oświadczając, że „niewolno środkami przymusowymi uciskać narodu polskiego, który ma prawo do swej egzystencji, a którego odłam, żyjący w Prusiech, bardzo się przydaje na wypadek wojny“.

Wojowniczą mowę pana ministra oświaty Bossego, dnia 28 kwietnia, którego zachęcał do hecy antypolskiej konserwatyści hr. Limburg, odpięrał zawsze cięty poseł ks. Jazdzewski. Znow ujął się za Polakami poseł centrum p. Dosbach.

Dnia 30 kwietnia poseł polski prof. Schroeder wykazał zanik poczucia sprawiedliwości i szlachetniejszych uczuć w wielkiej części narodu niemieckiego.

W tym czasie nastąpiły dalsze zakazy zebrań i rozwiązywania zgromadzeń polskich w Głanisku, Grudziądzu, Poszewie, Lubichowie, Osieku. Równocześnie rząd zaczął ścigać prasę polską.

Wytaczano procesy prasowe redaktorom pism polskich: J. Smoliński z *Kurj. Pozn.* 60 dni, B. Sobiechowski z *Gazety Gdańskiej*, E. Michałowski z *Pielgrzymy*, W. Kulerski z *Gazety Grudziądzkiej*, K. Gadziewicz z *Gazety Bydgoskiej* zasądzeni zostali na znaczne kary pieniężne.

Pod pozorem zwalczania socjalizmu, chciano za pomocą reakcyjnego projektu junkrów pruskich i hakatystów stłumić wszelką opozycję w państwie, a prześladowanie Polaków ubrać w pozory legalności.

Dzień 24 lipca był zasłużoną klęską dla rządu

Podczas obrad nad nowelą o ograniczeniu prawa stowarzyszeń, prezes Koła polskiego w pruskiej Izbie posłów p. Motty zajął jasne i zdecydowane stanowisko przeciw reakcyjnym zachciankom pana ministra von der Recke i w mowie swej 24 lipca 1897 wykazał datami prześladowanie Polaków a systematyczne akty samowoli rządu pruskiego poseł Motty nazwał „graniczącymi z barbarzyństwem“.

Głosy Polaków w Izbie pruskiej przyczyniły się do tego, że ten haniebnny i kompromitujący cywilizację niemiecką projekt pana von der Recke upadł większością 209 contra 205 głosom.

W parlamencie niemieckim głosowało Koło polskie wraz z wolnomyślnymi i socyalistami przeciw pozycji etatu marynarki i przez usta posła Komierowskiego złożyło deklarację, że w skutek wrogich zarządzeń rządu pruskiego w Wielkopolsce przechodzi do opozycji.

„W tych warunkach — mówił dnia 5 lutego 1897 roku, poseł Komierowski w parlamencie niemieckim — musimy przy najbardziej rzeczowych przedłożeniach rządu w naszych postanowieniach mieć na uwadze moment materialnego i moralnego ucisku ludności polskiej i temu dać wyraz decydujący w naszym głosowaniu, a równocześnie stanowczo oświadczyć, że potępiamy obecny kierunek rządu pruskiego. „Głosowanie i ta deklaracja nasza jest wynikiem jednomyślniej uchwały Koła polskiego w Berlinie“.

Nietylko rząd, lecz i społeczeństwo niemieckie w Wielkopolsce z własnej inicjatywy wystąpiło do walki z nami.

Oskawione bractwo H. K. T. założyło 36 filij w księstwie i 20 filij w Prusach Zachodnich, w celu tępienia polszczyzny w polskiej prastarej siedzibie. 5070 członków tego krzyżackiego bractwa roznosi nienawiść przeciw wszystkiemu, co polskie, na wstyd dla kultury i cywilizacji niemieckiej. To też uczciwi Niemcy ze stronnictwa centrum, a nawet liberał p. Jackel poseł, poznański wprost się tej haniebnej roboty wstydzą i gorzkie słowa prawdy swym rodakom wypowiadają.

Trzy instytucje niemieckie, dwie państwowe i jedna prywatna, pracują nad rozdrobnieniem wielkiej własności polskiej w Księstwie, i w Prusach zachodnich i osiedleniem włościan niemieckich.

Komisja kolonizacyjna zakupiła od roku 1887 do roku 1897 około 100.000 hektarów ziemi, kosztem 80 milionów marek i w ubiegłym dziesięcioleciu niespełna 2.000 niemieckich kolonistów osiedliła. Drugą instytucją, pracującą w kierunku wynarodowienia i wypłoszenia ziemi z rąk polskich, stały się w skutek agitacji hakatystów komisje generalne opierające się na ustawie o osadach rentowych z dnia 7 lipca 1891 roku.

Wykaz urzędowy komisji generalnych za czas od 1891—1896 ogłoszony w *Reichsanzeiger* w ogólnym rezultacie jest taki: w całych Prusach zamieniono na siedziby rentowe 709 dóbr, obszaru 168.799 hk., w tem 67.293 hk. rozparcelowano.

Nowych siedzib utworzono 5253.

Podług narodowości rozdziela się Mczba osadników w ten sposób: Niemców 3983, Polaków 1975, Litwinów 66, Mazurów 142.

Do pomocy komisji generalnych utworzono w roku 1894 dla wabienia niemieckich kolonistów *in die Ostmark* hakatystyczny Landbank, który w czasie 1894—1895 zakupił 15 dóbr obszaru 67.000 mórg, z których rozparcelował między niemieckich kolonistów 24.000 mórg.

Przedajni policyjanci w rodzaju Tauscha lub agenci prowokacyjni w guście Lützowa mają w Wielkopolsce najszersze pole działania i tam najobfitsze zbierają laury.

Oskawia ich aureola „niemieckiego patriotyzmu“, pod której osłoną wszelkie ich nadużycia uchodzą bezkarnie.

Obok nich agitacja, pieniądze i prasa bractwa krzyżackich hakatystów szerzy wśród ogółu niemieckiego najprzewrotniejsze wiadomości o polskim społeczeństwie i doprowadza do tego, że rząd zapowiada znów podniesienie funduszu kolonizacyjnego na wyrzucenie Polaków z ich ziemi z 100 mil. na 200 mil. marek. Polacy na swej prastarej siedzibie osaczeni są jak zwierzę w kłoci przez zgraję nastawników pruskich i psów gończych.

Takie prześladowanie wywołać musiało reakcję ze strony samego społeczeństwa. Objawiła się ona w dwóch kierunkach.

Ludność polska zajęła wobec rządu wprost opozycyjne stanowisko i w skutku tego posłowie polscy tak do Sejmu pruskiego, jak do parlamentu niemieckiego musieli przejść do stanowczej opozycji.

Głośny publicysta p. dr. Witold Skarżyński w skonfiskowanej przez rząd pruski broszurze „O naszej sprawie“ nawoływa Koło polskie w Berlinie do powrotu do polityki protestu na podstawie traktatu wiedeńskiego przeciw wcieleniu Wielkopolski do Rzeszy niemieckiej — polityki przez polską reprezentację w Berlinie od lat 25 porzuconej.

Równocześnie objawia się w życiu politycznym zaboru bismarkowskiego coraz silniej, jako reakcja przeciw polityce bismarkowskiej i hakatystów, prąd słowianofilski i pewien zwrot ku Rosji.

Zwłaszcza od czasu jak były korespondent petersburskiego *Kraju* p. Lebiński objął naczelną redakcję *Dziennika Poznańskiego* i uderzył w nutę polsko-rosyjskiej ugody, prąd ten rośnie. Ucisk w Księstwie Poznańskim, buta junkrów w Prusach królewskich i na Szląsku polskim, bezprzykładny cynizm rządu rozniecił i wywołał idee słowianofil-

skie, jako reakcję przeciw germanizmowi w pruskim zaborze.

Nawet *Goniec Wielkopolski*, pismo bardzo gorąco narodowe, wskazywał w trzech artykułach wstępnych na potrzebę — i konieczność sojuszu polsko-rosyjskiego.

Lud polski znosi te prześladowania pruskie ze stoicyzmem i natchnioną wiarą w lepszą przyszłość, pracuje w pocie czoła nad dorobkiem materialnym i podniesieniem oświaty. Gazety ludowe, książki polskie popularyzujące wiedzę, wydawnictwa poetów polskich rozchodzą się w tysiącach egzemplarzy i dochodzą istotnie tam, gdzie było marzeniem Mickiewicza, aby były czytane: pod strzechą wieśniacza.

Z uczuciem usprawiedliwionej dumy narodowej zamknąć możemy ten rozdział Polski pod zaborem pruskim słowami listu pasterskiego ks. arcybiskupa Stabilewskiego, ogłoszonego w dniu 900 letniej rocznicy męczeńskiej śmierci św. Wojciecha:

„Przeciągnęły przez tę ziemię burze, przeróżne klęski najcięższe ją nawiedzały, zmiany wielkie, a jednak jako najdroższa po ojcach spuścizna przechowywała się dotąd w sercach dzieci stare cnoty... piastowskie“.

Witold Lewicki.



Listy wiedeńskie.

Wiedeń, 30 grudnia.

(Z.) Nareszcie już nietylko grecka buda na Franzensringu, ale nawet sesja parlamentu zamknięta, a paragraf cztertnasty złuzował prawodawców i hula sobie, jak jaki *roi soleil*. Ustanowił już budżet, kontyngent rekrutów, stemple dla nowej procedury, uporządkuje stosunek obu pół monarchii, podatki ściąganie i to wszystko tak gładko, bez dyskusji, tak porządnie, regulaminowo, że aż miło i jest obawa, żeby jego twórców w grobie kości nie skleili się z radością...

Gabinet „czapki z bączkiem“ rozpoczął ojcowskie rządy i rządzi z miejsca, jak za dobrych czasów. „Kwiat dziesięciu narodów“, wybrany wedle nowej, wydoskonalonej reformy wyborczej, zmarnował rok i nie ruszył się z miejsca, chociaż się za bary wodził, a nie porozumiał się, chociaż radził dnie i noce, a przemawiał dobitnie, nawet popularnie. Cała maszyna państwowa stanęła, a z parlamentaryzmu drzazgi leciały. Przyszli nazad hofraci i w lot spokój, ład, państwo ma swoje, — żeby zaś i ludy dostały część swoją, otwarto teatru prowincjonalne i wszystkie „Schwätzwenty“ narodowo-krajowe...

Czas więc i waszemu „parlamentarnemu“ korespondentowi ruszyć w drogę. Ciskam ostatnie po-nure spojrzenie centralnemu parlamentowi, widzę chude maszty, z których Halban ściągnął obwisłe i poszarpane chorągwie i wracam do kraju, gdzie inne już szumią sztandary... I mówię sobie z Ziemiańskowskim z roku 1867: „Wolę Adama wypędzonego z raju, który skonsumował z drzewa wiedzy i pracuje w pocie czoła swego, aniżeli Adama, rozkoszującego się w raju wespół z bydlętą...“

...Ostatni „List wiedeński“ w tym roku. To nie dziw, że się oko zwraca na przebytą drogę i ciśnie się tłum wspomnień.

Austria miała ciężki rok, przeżywa wielkie przesilenie, o którym będzie pisać historia. Przebieg dziei i te termina, bo tyle cięższych przechodziła. Przegrywała bitwy i kampanie wychodziła silniejsza, traciła całe prowincje i kraje i była potem calsza i zdrowsza. Przepowiadano jej tysiąc razy sromotny koniec, a odradzała się jak Feniks. Doskonały zresztą historyk, Motley, pisał w parę tygodni po Sadowej, że o panowaniu Austrii można już mówić jak o Persach i Cyrusie. Ks. Gorczaków nie uznawał nawet już, żeby Austria była państwem — Austria, to tylko rząd. A gdy widziano, że jej niepowodzenia wojenne nie szkodzą, przepowiadano, jak Fadijew, że nie od cudzej broni, ale „na wewnętrzzną umrze chorobę“.

Tymczasem nie umarła i na to. Owszem, wychodziła zdrowsza, bo gdy raz zaczęła szukać przyczyny choroby, znalazł ją rozumny, dziejowemi doświadczeniami jak nikt wyszkolony, wielkoduszny monarcha w pierwszym rzędzie.

Trzeba było rzucić stare formuły bytu, szukać nowych na nowe dziejowe zadania. Więc choć organizm państwowy, najbardziej skomplikowany na świecie, choć trzeba wielkiego znawcy, żeby utrafić, co trzeba całości, co państwu, co krajom i narodom, choć nieraz błądzą Eskulapy, organizm wytrzymuje, a byle potem ktoś utrafił, zdrowie wraca.

Błędy systemu zamieniały „*terram benedictissimam*“ Węgier w kraj nędzy, dziś odrodzone, młode, w całej pełni rozwoju. Odradzały się inne kraje, ludy, przechodził i kraj nasz stoletnią martyrologię, miał epoki życia całych pokoleń zatracone dla kulturowego, społecznego, narodowego życia, „próbę grobu my przeżyli“ i odradzamy się. Pytało się tytu, czy ta Austria ma jaki sens, jaki cel, jakie „posłannictwo?“

A całe zbiorowisko całych ludów i odłamów czy strzępów mówiło, że go ma: więc musi. I tu jest sekret żywotności Austrii.

Pięćdziesiąt lat temu Czech Palacki mówił w frankfurckim parlamencie, że gdyby Austrii nie-

We wrześniu (d. 25 z. m.) nastąpiło również otwarcie panoramy p. t. Bem w Siedmiogrodzie przedstawiającej wzięcie Sybina, dokonane przez szereg wodza w dniu 11 marca 1849 roku. Dzieło przeznaczone na jubileuszową wystawę czterdziestoletnią w Budapeszcie, było po „Racławicach” i „Golgotcie” trzecią z rzędu panoramą kompozycją wykonaną przez Jana Stykę we Lwowie. W wykonaniu tej pracy pomocni byli Styce artyści węgierscy Vago Paweł, znany malarz historyczny i Skanyi Bela pejzażysta, tudzież z polskich malarzy Rozwadowski Zygmunt i Wywiórski Paweł. Nadto pracowali chwilowo przy owej panoramie: Tadeusz Popiel, Schönbach i Margitay. Mimo spóźnionej pory roku, wystawa „Bem w Siedmiogrodzie” cieszyła się nadspodziewanie liczną frekwencją publiczności i dopiero w pierwszej połowie grudnia wyprawiono obraz do Budapesztu, aby wśród zakarpackich naszych sąsiadów świeżego dodać bodźca kultowi dla bohatera, którego imię w dziejach wojennych niespożytym jasnieje blaskiem!

W miesiąc później nastąpiło odsłonięcie pomnika Aleksandra Fredry, dokonane w dniu 24 października t. r. na placu Akademickim. Myśl uczczenia zasług ojca komedii polskiej trwałym monumentem zrodziła się jeszcze w jesieni 1891 r. w tutejszem Kole literacko-artystycznym, które też energicznie wzięło się do pracy, gromadząc potrzebny fundusz w drodze składek publicznych, oraz starając się o jak najdoskonalsze wykonanie dzieła pod względem artystycznym. Na konkursie rozpisany w r. 1892 pierwszeństwo przyznali uproszeni przez „Koło” znawcy projektowi profesora Leonarda Marconiego, któremu też poruczono wykonanie pomnika. Pierwszy termin odsłonięcia monumentu naznaczono na lipiec 1894 r. ale przeszkody rozmaitej natury stanęły na drodze urzeczywistnieniu tego zamiaru i dopiero w jesieni bieżącego roku spiszowa postać wielkiego pisarza stanęła na przygotowanym już dawniej cokole z krajowego granitu.

Bardziej domowy charakter, aniżeli uroczystość Fredrowska, budząca żywe zajęcie i za murami Lwowa posiadał akt ustawienia marmurowego popiersia Jędrzeja Śniadeckiego w przedsiomku tutejszego instytutu chemicznego. Inicyatywa w tym względzie wyszła od rektora Radziszewskiego, redaktora *Kosmosu*, za którego staraniem zawiązano komitet w krótkim stosunkowo czasie doprowadził do skutku zamiar uczczenia zasług wielkiego chemika i obywatela biustem pamiątkowym dłuta Antoniego Popiela. Uroczyste ustawienie popiersia odbyło się w dniu 29 listopada rb., w obecności władz uniwersyteckich, przedstawicieli świata naukowego i młodzieży akademickiej.

Szereg obchodów o charakterze literackim, święconych w naszym mieście, zakończyła uroczystość trzechsetnej rocznicy urodzin poety i kronikarza Bartłomieja Zimorowicza, uwieczniona przez reprezentację miejską wniesowaniem tablicy pamiątkowej w ścianę domu, wznoszącego się w miejscu dawnej siedziby zasłużonego pisarza. Uroczystość ta odbyła się w dniu 22-go grudnia 1897 r.

Spółeczeństwo nasze zwykło wszakże cześć nie tylko zasługi przeszłości, lecz hołd należny niosło w tym roku tym wszystkim, którzy zdolnościami i pracą zdobyli sobie wybitniejsze w dziedzinie współczesnej nauki, literatury i sztuki stanowisko. Brali więc Lwowianie żywy udział w święconych w Warszawie jubileuszach Deotymy, Prusa oraz Pluga, lecz nie mniej szczerze przyglądali się do owacyj, jaką świat naukowy darzył w czerwcu b. r. cichych pracowników wiedzy profesorów Bronisława Radziszewskiego tudzież Teofila Ciesielskiego w uznaniu ich ówczesnej wieloletniej działalności w tutejszym uniwersytecie. Jeżeli jednak w dopiero wymienionych uroczystościach główny zastęp uczestników rekrutować się musiał z wziętych uczniów, zasłużonych przewodników młodzieży, to w jubileuszu Władysława Belzy, święconym w dniu piątym grudnia t. r. w murach Ossolineum, brała udział sercem a duchem działka całej Polski. Była to z jej strony hojna lecz zasłużona zapłata dla pieśniarza, który lat trzydzieści żmudnej pracy poświęcił małuczkim, ucząc ich w pismach swych kochać i cześć wszystko, co wielkie, szlachetne, piękne!

Cześć dobrze zasłużonym, lecz słowo wspomnienia należy się i tym szermierzom pióra, tym kapłanom sztuki, których śmierć nieubłagana wyrwała z pośród nas w ciągu ostatniego roku. A żniwo śmierci obfite było w tym czasie, że wspomniemy o zgonie Asnyka i Ujejskiego, uosobiających mistrzostwo formy i siłę potężną natchnienia w swych znakomitych utworach.

Zwłoki pierwszego spoczęły w grobie zasłużonych na Skalce. Drugi w myśl ostatniego woli rozporządzenia ułożył się na sen wieki wśród mogił wieśniaczych, na wiejskim cmentarzu, choć i jego zwłokom zaszczytne na Skalce schronienie Kraków zaofiarował. Lwów postanowił przynajmniej pomnikiem uczcić pamięć poety, jednego z ostatnich, co wiedli nas pieśniami, pamięć piekwy „Chorału”, człowieka, który żył i umarł niezłomny, wierny zasadom dobra, piękna i prawdy, jakim hołdował za młodu. Zwolany w pierwszych dniach października przez prezydenta miasta, dra Godzimira Małachowskiego, komitet zapowiedział odsłonięcie pomnika, a raczej popiersia spiszowego na dzień dziewiętnasty września 1898 r. jako w rocznicę zgonu poety. Dotychczas wszelkie składki wpływają zbyt powolnie i dlatego nie wahamy się na tem miejscu wezwać tych wszystkich, którym jest droga pamięć poety, którzy wraz z nim wierzą, że w pieśniach wieszczów „jest stal i zdrowie”, by spieszyli złożyć choćby najmniejszą ofiarę na pomnik dla twórcy „Chorału”. Na ten cel składać można w Prezydium magistratu lwowskiego i w redakcyach wszystkich pism lwowskich.

Lecz wróćmy do przerwanej kroniki żałobnej, na której kartach widnieją nazwiska: dra Lesława Borońskiego wydawcy *Nowej Reformy* († 6 marca), Edwarda Jelinka, statecznego przyjaciela Polaków († 16 marca), Juliana Łętowskiego (13 maja), Karola Mikulęgo (22 maja), Antoniny Hofmanowej († 16 czerwca), Jana N. Sadowskiego († 3 lipca), Kazimierza Plebańskiego († 20 sierpnia) i Stanisława Rzętkowskiego (9 listopada).

Pokój ich popiołom.

Stanisław Schnitz-Pełowski.

Austriacka statystyka kolejowa za rok 1896.

Z chwalebnyim pospiechem po wydaniu w maju b. r. „głównych wyników statystyki kolejowej za rok 1896”, austriackie ministerstwo kolei żelaznych ogłosiło świeżo analogiczną publikację, odnoszącą się do roku następnego. Z mnóstwa nagromadzonych w niej cyfr, podajemy niektóre ważniejsze.

Ogólna długość kolei austriackich, poruszanych parą i innymi mechanicznymi motorami wynosiła z końcem tegoż roku 16,805.576 kilometrów t. j. o 1.89% więcej niż w roku poprzednim. Z tego przypadało na koleje państwowe 9,024.475 km. czyli więcej niż połowa (53.7%). Kapitał zakładowy wszystkich kolei państwowych i prywatnych, ale przez państwo na własny prowadzonych rachunek, przekroczył cyfrę miliarda, wynosząc 1.118.376.331 złr., z czego amortyzowanych było 55,925.288 złr. Kapitał zakładowy kolei prywatnych, łącznie z kolejami lokalnymi, prowadzonymi przez państwo na rachunek prywatnych właścicieli, dosięgał sumy 1,616,611,297 złr., czyli przeszło półtora miliarda.

Tabor kolejowy powiększył się przez ten rok wcale znacznie. Liczba lokomotyw urosła o 3.8%, wozów osobowych o 4.7%, ciężarowych o 2.2%. Ogółem było z końcem roku: lokomotyw 4383 (na kolejach państwowych 1991), wagonów osobowych 9561 (4606), ciężarowych 99.673 (36.900) sztuk.

Na szczególną uwagę zasługują daty, ilustrujące rozmiary i rozwój właściwego ruchu kolejowego. Łącznie na wszystkich kolejach przejechało w r. 1896 niemniej jak 105.2 milionów osób, w szczególności kolejami państwowymi 43.1 mil., a prywatnymi 62.1 mil. W przecięciu przypada na kilometr osób 6425. Decydującą rolę gra tu oczywiście klasa trzecia, na której ruch największy. I tak z wyżej podanej łącznej cyfry 105 milionów, przypada na pierwszą klasę zaledwie 1.03%, na drugą 7.92%, na trzecią 88.05%. Reszta rozdziela się na transporty wojskowe (2.78%) i na klasę czwartą (0.22%), która, jak wiadomo istnieje tylko na niewielkich liniach Lwów—Boleś i Koszyce—Bogumin.

Przeciętna długość przebytej drogi w ruchu osobowym wynosiła na kolejach państwowych 40.83 km., na prywatnych 35 km.

Wzrost niemały objawił się w transportach ciężarowych, które dosięgły ogółem cyfry 100 milionów ton, przeszło 6 mil. ton więcej niż w roku 1895. Stosunek udziału kolei państwowych i prywatnych w tej cyfrze przedstawia się jak 32.3 do 67.7.

Także finansowe wyniki ruchu wypadły w ogólności pomyślnie. Suma dochodów wszystkich kolei podniosła się z 247.6 milionów złr. w r. 1895 na 268.9 mil. złr. w roku sprawozdawczym, dochód kolei państwowych wynosił 103.8 mil. prywatnych 165.6 mil. złr. Równocześnie cyfra łącznych wydatków na wszystkich liniach wzrosła z 145.8 na 158.9 milionów złr., z czego 68.4 mil. złr. przypada wyłącznie na koleje państwowe.

Wykaz nieszczęśliwych wypadków, jakie się na kolejach w roku sprawozdawczym wydarzyły, podaje ich cyfrę w łącznej sumie 2368, o 200 mniej niż w r. 1895. Między niemi było 244 wykolejeń i 117 zderzeń. We wszystkich tych katastrofach, bądź z własnej winy, bądź niewinnie, ucierpiało 179 osób, z których jedynastu straciło życie. Na milion podróży przypadały w r. 1896 dwie katastrofy. Stosunek ten w roku bieżącym pogorszył się prawdopodobnie znacznie, możemy to dziś już przewidzieć, choć na razie cyfr dokładnych nie mamy jeszcze pod ręką.

Osób zajętych w służbie kolejowej (urzędników, t. zw. podurzędników, służb nieskich i żelaznych) było w całej Przedlitawii ogółem 73,394, przeciętna liczba wyrobników dziennych wynosiła 92,718. Pohory tych wszystkich funkcjonaryj, dosięgły sumy 53.7 milionów złr., o 6.3% wyższej niż w roku poprzednim. Z urządzeń humanitarnych dla personelu istniały 28 kasy chorych, pensyjnie około 35 instytucyj podobnych. Stan ich majątków wykazuje cyfrę 57.3 milionów złr., w porównaniu z r. 1895 o 4.6% więcej.

Z danych o ilości i rodzaju transportowanych przedmiotów, warto podnieść te zwłaszcza artykuły, które dla ruchu ciężarowego największe mają znaczenie. Przekonywamy się tedy między innymi że ilościowo najwięcej, bo 43.6% całej masy transportu kolejowego, przewieziono węgla, 8%, przypada na kamienie, ziemię, wapno, 7% na drzewo budowlane i materiały, 6% na zboże, 3.9% na buraki, 3.8 na żelazo i towary żelazne, wreszcie 2.7% na rudy i kruszce.

Udział największych kolei prywatnych w łącznej sumie transportu towarowego wszystkich kolei tak się przedstawia: kolej północna 10%, Ferdynanda zajmuje pierwsze miejsce z cyfrą 14.1%, austriacko-węgierskie towarzystwo kolei państwowych wykonuje 10%, kolej Ausig-Cieplie 9.8%, austriacka kolej północno-zachodnia 7.5%, południowa 6.8%, buschtchradzka 6.6%.

Osobny ustęp omawianej publikacji zawiera historyczny przegląd rozwoju kolejnictwa austriackiego od samych początków, rzecz pod wielu względami ciekawa, oraz obszernie zestawienie prac ustawodawczych z ostatnich lat dziesięciu, poświęconych kolejnictwu lokalnemu.

Nie zawadził na koniec wspomnieć, że praktyczna doniosłość statystyki kolejowej w Austrii, w zasadzie i tak zresztą niewątpliwa, była jednak o wiele poważniejszą i cenniejszą, gdyby szczególnie w dziedzinie transportów towarowych dawała dokładniejszy obraz

ruchu przewozowego pewnych bodaj najwybitniejszych w nim artykułów, nie tylko dla całego państwa jako takiego, ale i odrębnie dla krajów w radzie państwa reprezentowanych. Każdy z tych krajów powitalby z pewnością odnośne wykazy z wdzięcznym zadowoleniem, miałyby w nich bowiem podstawę realną do układania statystyk szczegółowych, dokładnych i budzących wiarę, których krok dla handlu zwłaszcza i przemysłu od-czuwa się dziś powszechnie.

Q.



Obrachunek ziemiański na rok gospodarski.

Wszyscy porządni gospodarze mają chwalebny zwyczaj, po zbiorach i wykonaniu prób wydatku, zrobić w przybliżeniu rachunek przyszłego rozchodu i dochodu i czystego zysku spodziewanego z tego rocznego rezultatu swego gospodarstwa. Postaram się zestawieć tu taki bilans nie jednego poszczególnego folwarku, ale folwarku „idealnego”, typowego, przeciętnego we wschodniej Galicji. Tak w dochodach jak rozchodach przyjmę cyfry przeciętne i wykażę, jak wyglądać może i jak wygląda w rzeczy samej kieszeń wschodniogalicyskiego szlachcica w obecnej chwili.

Jako podstawę operacyjną, weźmiemy średnio wielki folwark z siemą, należącą do drugiej klasy. Obszar tego przypuszczalnego folwarku będzie wynosił 480 morgów roli, 40 morgów łąk dwu kośnych i 120 morgów pastwiska dla bydła. Role są rozdzielone na 12 pól po 40 morgów, na których prowadzi się gospodarstwo racjonalne dwunasto-półowe z dwoma nawozami, co sześć lat. Dochód z tego folwarku był taki:

1) 80 morgów pszenicy (po strąceniu nasienia i potrzeb dowozu) po 4 cent. z morga, 320 centn. à 10 zł.	3,200 zł.
2) 80 morgów żyta (po strąceniu nasienia i ordynaryj) po 4 centn. z morg., 320 centn. à 7 zł.	2,240 „
3) 40 morgów kartofli (po strąceniu nasienia i karmy bydła) po 25 cent. z morg. 1000 cent. po 1 zł. 40 ct.	1,400 „
4) 40 morgów nasienia kończu à 1 cent. z morga à 40 zł.	1,600 „
5) Owies, jęczmień, kukurudza i buraki obrócone na karm inwentarza	—
6) Za sprzedany przyrost w bydle	800 „
7) Za sprzedany przyrost w świnich	400 „
razem dochodu	9,640 zł.

Rozchód przedstawia się tak:	
1) Podatki, assekuracja od ognia etc.	900 „
2) Renta od wart. majątku 120.000 zł. à 4%	4,800 „
3) Służba i administracja (bardzo tanio)	2,400 „
4) Remont inwentarza pociągowego i narzędzi	600 „
	8,700 zł.

Dochód 9,640 zł.

Rozchód 8,700 „

Czysty zysk z przedsiębiorstwa 940 zł.

Naturalnie, jeżeli miał ten szlachcic taki urodzaj, który chociaż jest przeciętnym, nie jest jednak ogólnym i praktykował się w roku bieżącym, tylko w gospodarstwach bardzo dobrze prowadzonych, bardzo racjonalnie urządzonych. W innych prowadzonych bez planu, spadał do połowy wymienionych cyfr, a następnie, jeżeli udało mu się osiągnąć najwyższe ceny, które tu wziąłem za podstawę mego obrachunku, a które niestety nie każdemu udało się uzyskać.

Wprawdzie z kwotą 940 zł. rocznie można żyć, ale to życie musi być bardzo skromne i nad wszelki wyraz oszczędne. Umyslnie zrobiłem sobie taki „bilans” i posłałem go do *Słowa* wydrukować. Rażę każdemu to zrobić i do rezultatu bilansu, zastosować dokładnie swe wydatki.

Enigma.



Salon sztuki.

Dziwnie się jakoś złożyło, że pod sam koniec roku portret zajął na naszej lwowskiej wystawie dominujące stanowisko. Z urzędu, choć nie z wieku, należy się pierwsze miejsce Augustynowiczowi, temu świetnemu i ośniewającemu talentowi o szerokim i śmiałym łonie. Ciekawe koleje losu przechodził u nas wielkie, potężne indywidualności. Taki Augustynowicz jest jeszcze ciągle *une quantité négligeable*, chociaż to malarz pierwszorzędnny, stylowy, dziś najwybitniejszy i najgenialniejszy polski portrecista. Czuję okrzyk buntu, wydzierający się z piersi różnych powag... Tak, Pochwalski wyniósł niezawodnie nasze malarstwo portretowe na wysokie piedestały, wyrobił mu poszanowanie i uznanie za granicą, — ale ostatecznie ten Augustynowicz, zaciętny w galicyjskiej parafianstwie, wprowadził nowe kierunki i nowego ducha do działu portretowego, — a pod względem wykonania nietylko może walczyć z Pochwalskim, — ale często nawet go orześciga. Bo proszę popatrzeć na ordynata Czarn-

owskiego-Golejewskiego, czy też na portret dr. Niemczyńskiego. Co to za nadzwyczajne arcydzieła! Augustynowicz zerwał z szablonem, przestał ludzi alować w żółtych butach i karabelach, których dodatku nosić nie umia, nie robi, jednym słowem, arnawał na swoich płótnach, — ale naturę, przejmującą, zdumiewającą prawdą. Ogromne głęboka psychologia malarska w połączeniu z starannym rytnikiem, — nadają dziełom Augustynowicza niezwykłego uroku. Należyte stonowanie barw, umiejętne ułożenie powietrza w okół figury i swobodne grupowanie jej ruchów stopniują wrażenie rzeczywistości. W dodatku Augustynowicz holdując impresjonizmowi, używa go z miarą artystyczną, tak jak potrzeba i należy. Dzieła tego malarza przyćmiewają formalnie potęgą swoją inne portrety, chociaż niektóre z nich odznaczają się istotną pomysłowością.

Panna Aniela Pajak posiada żywotny i bardzo rozległy talent. Portrety pań Idalii i Heleny Pawlikowskiej są malowane arcydobrze, bije z nich dużo życia, wyrazistości i duchowej prawdy. Postawienie figur jest ładnem, artystycznym. Chwilami zdaje się jednak, że te portrety malowane z zanałto wielką brawurą, dobrą dla postaci męskich, a nie kobiecych. Panna Pajak nakłada też za dużo refleksów barwnych na twarze, — skutkiem czego robią się na policzkach różne przesadne smugi. Uwaga ta stosuje się szczególnie do portretu starszej pani Pawlikowskiej. W dodatku tony są przeważnie u panny Pajak sino-zielone i spływają nie tylko po policzkach, ale i po całym ubraniu. W bardzo mizernem oświetleniu, pod samą framugą drzwi wisi oddawna Chrystus, pędzla panny Pajak. Chrystus ten jest tak pięknym, tak myślącym i spokojnym, że doprawdy musi wywrzeć głębokie i długotrwałe wrażenie.

Nie tylko sama technika, samo wykonanie jest na tym obrazie doskonałem — ale i pojęcie niezwykłem. Chrystus ten, to nie szablonowy męczennik okupiający własną krwią świat, ale jakiś Bóg-Prometej budzący ziemię do nowego życia, wlewający w nią silny oddech, idący śmiało na ciemne drogi. Może w nim za wiele pierwiastku ludzkiego, za mało nadziemskiego, — ale właśnie to odrzucenie cudowności, — czyni go tym większym i bardziej ubóstwianym. Przypominamy, że i genialny Pruszkowski w ten sam realistyczny sposób postać Syna Bożego pojął.

Dobrym jest Kotowskiego portret dr. Sielskiego. Malowany spokojnie, bez sadzenia się na sztuczne efekta, robi przyjemne, nadzwyczaj dodatnie wrażenie. Natomiast portret pani Sielskiej nie ma dościsłej ekspresji, duszy, a w dodatku grzywka tak jest przysklepiona do czoła, że wygląda raczej na perukę, niż włos naturalny. Portret pani Urbańskiej pędzla Wili Kraszewskiej ma ładne koronki i naprawdę znakomicie ludzający aksamit. To jego jedyna zaleta. Dule białka wystawiła portret głośnej poetki pani Maryi Konopnickiej. Z portretu tego, malowanego zresztą starannie, przebija się raczej figlarność i pewna życiowa nonszalansja, niż natchnienie Feba. O dwóch kobiecych głowach Rejchana powiedzieć można, że zanałto przypominają świetny talent ilustratorski tego artysty.

Jako portretów *pure et simple* na seryo traktować ich nie podobna. Także i Fałat opuścił owe zagajniki i leśne roztocze, — dla dwóch małych portrecików. Portret brata artysty jest robionym szkicowo, „machniętym“, wyrażając się malarskim żargonem, ale mimo to znać w nim dużo zacięcia i jeszcze więcej jakiegoś uroku, którego się nie rozróżnia z pomocą subtelnej wykończoności, tylko domyśla się i odczuwa. Portret mężczyzny w długim płaszczu, jest także oryginalnym, bardzo wrażliwym się w pamięć. Gdzieś w szary kącik, zapchano za inne płótna „babunię“ Dukczyńską: nadzwyczaj pracowite i porządnie wykonane studium.

Nie chciałbym być niesprawiedliwym, albo nadzwyczajnym rekawicę krytyki, który pomija lub gładko przepływa bujne fale twórczości pana Reyznera. Obiecywano sobie niegdyś po tym talencie wiele, otrzymano... ach, na razie to trudno jeszcze określić. P. Reyzner zawiesza ściany lwowskiego salonu, rozmaitemi zielonemi, fioletowemi, słowem tęczowemi Milusińskimi, zupełnie takimi, jakie się widuje na pudełkach czekolady w cukierniach. Malowanie to porcelanowe, wylizane, bezduszne, bez siły i kolorytu, a przytem pretensjonalne. Te damy nakręcane na różne pozy, dobre są może do pewnych buduarów, ale żadną miarą nie kwalifikują się do salonów artystycznych... Zanałto przypominają żurnale, za mało sztuki. Banalna jest p. Reyznera dochodzi do szczytu, gdy każe jakiemuś młodzieńcowi porządnie ufryzowanemu ścisnąć pół figury kobiety, jakby żywcem wyrwanej z manekinu w szwalni.

Każda ujemna krytyka jest bardzo, nawet bardzo przykra rzecz, — ale ostatecznie trudno nie drasnąć jej skalpelem takiego n. p. portretu p. Niewiadomskiego, namalowanego przez Harasimowicza. Może nawet ten portret jest przerysowanym, może mrówczo, pedancko robionym, ale przecież żadną miarą nie odzwierciedla wizerunku duchowego. W twarzy przebija się martwota, nienaturalne skrzywienie, wyduęcie, niby pęcherza. To nie człowiek żywy, ale gipsowa głowa.

Z rzeczy rodzajowych zasługują na uwagę prace Szwałkowskiej, odtwarzające martwą naturę, szczególnie owoce. Ryszkiewicza w „Pochodzie“ ma dużo życia, ruchu. Widocznie nie cho-

dziło artyście o oddanie ekspresji twarzy, — ale o stworzenie zajmującej pod względem grupowania i sytuacji chwili. O „modlitwie“ i „nad ranem“ Weina powiedzieć można, że artysta równą wagę przypisuje malowaniu garnka czy też sznaty na podłodze, — jak figurom lub innym przedmiotom, wysuwającym się na pierwszy plan. Byłoby to chwalebne i pożądanem, gdyby właśnie oba obrazy Weina nie robiły wrażenia, że malarz myślał naprzód o każdej drobnostce już po przystąpieniu do pracy i kolejno ją odtwarzał, a jeszcze całej kompozycji nie ogarnął fantazją i myślą. Skutkiem tego brak odpowiedniej miary w wykonaniu. Natomiast panu Batowskiemu, twórcy „handlarza dywanów“ zdaje się koniecznie, że kolorowość polega na dobraniu jak najróżniejszych i najjaśniejszych barw. Ten „handlarz obrazów“ to prawdziwa paleta, obłożona grubo wszystkimi kolorami. Nie ma tu mowy o wytworzeniu barwności przez odpowiednie stonowanie i ustosunkowanie kolorów. Pyszne są jelenie Fałata. Bardzo wdzięcznie przedstawia się Rozwadowskiego „przed kwaterą“. — Naszym, prawdziwie swoim — to idylliczny obrazek Makarewicz „pierwsze korale“. Dziewczkę przebiera różowe guzy, nanizane na sznurku, a tak zajmująco spuściła powieki i tak całą duszą oddała się tej robocie... Stachiewicz przypomniał „legendę o górniku“ dawny cykl z Wieliczki.

W. Lubiński.



Koniec świata.

Ciemno było w przestrzeni, ale ziemia nie dbała o to, pędziła prędzej niż wszystkie Orient-expressy po wygodnej drodze swej elipsy, doskonale już utartej i wyjeżdżonej, a księżyc przykuty do niej mocą przyzwyczajenia i więzami obowiązku, towarzyszył jej uprzejmie, choć co prawda, dawno już przestał odczuwać tę słodką ekstazę, jaką mu dała pierwsza podróż poślubna. Wystygnięty był nieborak do tego stopnia, że w każdy krater jego wulkanów można było śmiało wsadzić w najkrzytyczniejszej chwili Płerszego lub Wolfa, dla szybkiego a dokładnego ostudzenia. Z tem większem też zdumieniem spoglądał dziś księżyc na swoją małżonkę, on już całkowicie zubożał na wszystko, a ona jeszcze irytowała się, i to na kogo? na drobne mrowie, nazywane „ludźmi“. Czyż ono warte nawet burzyć spokojnej planety, która powinna krążyć po swej drodze, nie zajmując się wcale tem, co się na jej powierzchni dzieje.

Może jednak księżyc był dlatego takiego zdania, że na jego powierzchni nie się właściwie nie działo, nie rozumiał zatem jak mogą boleć i dręczyć uderzenia milionów serc, jakim dreszczem cierpienia przejmują jęki tych, których się na swem łonie wypiastowało.

Oddawna już ziemia czuła, że coś się psuje, zgrzyta, rwie, w tym delikatnym a skomplikowanym ustroju, zwanym ludzkością; wykarmiła go własną pierśią, a teraz zdumiona wsłuchiwała się w bicie tych serc, które zdawały się jej niepojętą anomalią, jakimś rażącym krzykiem, rzuconym w harmonię wszechświata, przeszywającym błękit, stworzone przecież na to tylko, aby je przebiegały ciche i złote promienie ciał niebieskich.

Dokoła, w ogromnej przestrzeni panowała niczem niezamącona cisza i spokój — gwiazdy jedna na drugą krążyły wytkniętą drogą obowiązku, a raczej elipsy, i ani im w myśli było szemrać na trudy, spychać się wzajem z drogi, podnosić bunt przeciw odwiecznym prawom, które kazały im lecieć i świecić. Nie walczyły z sobą nawet o promienie słońca, nie grały o nie w haussę i baisse, i choć nieznane im były kasy wertheimowskie i miesięczne szkrona, nie zdarzyło się nigdy, aby choćby jeden promień złota zginał zdefraudowany w przestrzeni. Nigdy też dla jakichkolwiek celów, nie ogłaszały fałszywego zaćmienia, były to solidne firmy, które tylko smutna konieczność mogła zmusić do takiej ostateczności. Nie było też między niemi planet uprzywilejowanych, któreby umiały gardzić, ani planet upośledzonych a nienawidzących. Każda czuła się atomem, koniecznym do utrzymania równowagi wszechświata, ale żadna nie utrzymywała, że wszechświat istnieje dla niej tylko. Sprawy ogólne, nowe urządzenia w ustroju konstytucji planetarnej, załatwiała się między niemi szybko a cicho, bez trąbek, gwizdów, scyzoryków, i t. p. parlamentarnych środków. Czasem zdarzało się wprowadzić i tutaj, że jakiś atom buntowniczy wyrwał się z ogólnego koła i pędził na oślep, nie cąc krwawe blaski w przestrzeni, ale nie pociągał za sobą nigdy innych gwiazd; sam, opuszczony od wszystkich gorzał przez jedno mgnienie oka, i wnet chłonęła go w siebie wieczna głódna blasków, ciemna otchłań zapomnienia — bo błędne gwiazdy nie powinny świecić sobie ani drugim.

Tak działo się między gwiazdami, a u ludzi... nawet cierpliwa ziemia drżała nieraz z oburzenia, i teraz w tę noc noworoczną postanowiła nagle położyć koniec wszystkiemu. Dość już kłesk, cierpień, nikczemności i nienawiści wszelkich, długo znosiła je w milczeniu, za to teraz odrazu uśmierzy, uciszy wszystko... końcem świata.

Trudno odgadnąć, co jej podszeptało tę myśl samobójczą, czy przedwczesne przepowiednie Fałba, który jej od lat już wielu ten koniec świata sugerował, czy przyłożony do dziecinnej prawie skroni rewolwer, rzucił w nią posiew myśli, że tam gdzie młodzi odbierają sobie życie i starym żyć nie ma po co — dość, że postanowienie to dojrzało w niej dziś właśnie, w mroźną noc noworoczną i miało już zaraz nieodwołalnie być w czyn wprowadzone. O sposób nie trudno: sztylet, rewolwer, truciznę zastąpi ogon komety, o który łatwo sobie i całej ludzkości roztrzaskać głowę.

Księżyc nie oburzał się i nie protestował przeciw samobójczym zamysłom swej małżonki, — przeciwnie, czuł się niemi dość zainteresowany. Ciekawy był, jak też sam się zachowa, co będzie czuł, co myślał w chwili strasznego kataklizmu? Choćby wrażenie miało być przykre, będzie w każdym razie dość silne, a co najważniejsza, nowe, dla takiej sensacji warto coś poświęcić.

Między ludźmi taki księżyc, obojętny na wszelkie miłe a pospolite uczucia, a lubujący się wrażeniami spodziewanej grozy i cierpień, które udawały mu się już unosić jak ciemna chmura w przestrzeni, byłby zapewne zaliczony do „młodych“ „impresjonistów“ „symbolistów“ lub coś podobnego — gwiazdy widziały w nim po prostu „egoistę“ i w dodatku nazwały go „starym grzybem“ nie zdolnym już odczuwać tego, co młody, zdrowy organizm poruszać powinno — no, ale gwiazdy widocznie nie znały się na rzeczy. Księżyc zresztą nie dbał wcale o opinię tłumy i z pełnem poczuciem swej wyższości oddawał się wychowaniu swego ja — i gardził tymi, którzy nie umieli go zrozumieć.

Przed ostatecznym końcem jednak ziemia zesta-wiała jeszcze całoroczny bilans zasług na swej powierzchni zdarzeń — nie chciała, aby w historii świata znaleziono z jej winy jakikolwiek deficyt, wolała wszelkie rachunki pozostawić w porządku. Księżyc dopomagał jej w tem, nieco żmudnem dla niewiasty zajęciu i trzeba przyznać, że zainteresowany chwilowo, pracowat gorliwie i umiejętnie, nie był on pozbawiony zdolności i jeżeli przez całe życie nie nie robił, to tylko dlatego, że uważał, iż robić nie warto. W tej chwili właśnie przeprowadzali przegląd całej kuli ziemskiej, a ma się rozumieć, że zwracali szczególną uwagę tylko na kraje ucywilizowane, bo o innych nie było nic ciekawego do zapisania: gorąco, tygrysy, lody, niedźwiedzie — oto i wszystko!

— Co widzisz teraz? — zapytywała Ziemia, która sama posiadając tylko słuch nadzwyczaj czuły a będąc zupełnie pozbawiona wzroku, posługiwała się zlotawem, przymglonem okiem swego małżonka. — Widzę jakąś gromadę ludzi — wszyscy z roziskrzonym wzrokiem, z pięknymi, wyrazistymi giestami, zdają się mówić chórem każdy co innego, każdy tak głośno, aby mógł drugiego przekrzyczeć. Prawia coś o nowych drogach, o wielkich celach, ale mimowolnie każdy ręką wskazuje na własne piersi, jakby siebie tylko miał na myśli.

— Karyerowicze! — syknęła Ziemia, a Księżyc zbity z tropu takim wnioskiem szepnął z cicha: Zdawało mi się, że to są przewodnicy ludności.

Ale Ziemia powtórzyła z uporem czysto niewieściem: Karyerowicze! — i Księżyc posunął się dalej, bo koniec końcem sam nie wiedział, czy warto się trudzić dowodzeniem swojego zdania.

— Teraz widzę tłum pędzący na oślep w krwawym płomieniu ogniska, depczący i druzgoczący wszystko, co na swej drodze napotka — nad jego głowami góruje jakiś napis: „Mściciele“ czy „Wybawiciele“, nie mogę dobrze przeczytać.

— Burzyciele! wrogowie cudzego i swego szczęścia — mruknęła Ziemia — a teraz?

— Patrzę na walkę, w której zwycięża podłość i złoto nad szlachetnością i ubóstwem.

— Tak u nich prawie zawsze bywa, czas już raz to skończyć. Cóż dalej?

— Jakieś kobiety biegną drogą — krzyczą głośno, rzucają po za siebie dzieci, obowiązki, zwyczaj, wszystko coby im ciężę mogło, powiadają, że idą szukać nowych dróg, bo im na dawnych za ciasno.

— Dam ja im nowe drogi, gdy bodaj o li się zboczę ze swej elipsy!

— Po za niemi idzie znowu kobieta, samotna, dźwigająca na sobie ciężar obowiązków, że najsilniejsze ramię męskie by ich nie uniosło. I ona szuka nowych dróg — bo do starych nikt jej nie dopuścił!

— Biedactwo! dobrze, że się już dłużej męczyć nie będzie. Czemuż nie mówisz dalej?

— Bo patrzę, patrzę na dwoje ludzi, którzy stoją dłoń w dłoni, oko w oko. Tych może trochę szkoda — zdają się kochać tak bardzo.

— Mniejsza o nich — taka miłość i tak wieczna nie jest.

— Ach zapewne, zapewne nie jest wieczna, a przynajmniej nie, czy wiecznie tych samych serc i między tym dwojgiem widzę już kogoś trzeciego.

— Banalna historia — mruknęła Ziemia.

— Teraz patrzę na biurko, przy którym siedzi literat nad białą ćwiartką papieru. Ma pomysł do jednoaktowego dramatu, ale bije się w myślami, jakby z tej treści pięć aktów wykroić i puścić się na konkurs. Roją mu się razem i laury i złoto i kolacja z szampanem dla artystek po przedstawieniu sztuki i twarzyczka interesującej a posażnej piękności, która go pokocha, gdy będzie sławny i bogaty.

— Nie skończy już swego dramatu — raczej-

MATKA.

o to: teatr i książki więcej złego, niż dobrego zaszewają po świecie — mruknęła zgrzyliwie Ziemia.

— A jednak jeśli to miała być rzecz piękna, to choćby mogła stać się rozsądnikiem złego, szkoda jej — z cicha zauważył Księżyc, który był zwolennikiem zasady: sztuka dla sztuki. — Przytem rozpatrując się kolejno w rozmaitych smutkach i radościach ludzkich, zaczynał się niemi zainteresowywać i odczuwać pewien żal, że się to wszystko tak prędko miało skończyć. Uczuł spóźniony apetyt do życia.

— Cóż widzisz? — zagadnęła Ziemia — spiesz się, za dwadzieścia minut koniec świata.

— Przecież nie było jeszcze pierwszego dzwonka — oponował Księżyc.

— Nie dbam o to, tylko ludzie potrzebują koniecznie dzwonników, sygnałów, zwrotnic i t. p. przyborów, żeby rozbić pociąg, ja potrafię się wykołać bez całego tego kramu. Mów dalej!

— Widzę ubogie poddasze i znowu pochyłonego nad papierem jakiegoś studenta z piórem w ręku.

— Och! aż mnie mdli! — jęknęła Ziemia, — przekarmili mnie atramentem, cieszę się, że to już nie na długo. I cóż ten nowy literat: poeta, dramaturg czy powieściopisarz?

— Ech, to jakiś zwykły gryziopiórek; on nie pisze, tylko przepisuje a przytem marzy.

— Czy także o kolacyi?

— Tak, ale nie dla siebie. Na poddaszu w sąsiedztwie mieszka niewidomy, niedołężny staruszek, zziębnięty i głodny; młody marzy, że gdy skończy przepisywanie, za zarobione pieniądze przyniesie mu drzewa i mleka.

— Czy to jego ojciec, czy opiekun?

— Nie, obcy człowiek, ale kochają się.

— Za co?

— Ot, tak sobie, prawie bez powodu. Stary kocha studenta za to, że młody, że idzie w życie z podniesionem czołem i choć odmiennymi drogami, ale do tych samych jasnych celów, do których on dążył niegdyś. Młody... hm, młody kocha starego za to, że niedołężny i biedny; on kocha wszystkich, co są biedni.

— Kocha wszystkich, co są biedni — powtórzyła bezwiednie Ziemia i szept jej popłynął w przestrzeń, jak echo rajskiej pieśni. Czy długo jeszcze ma przepisywać? — spytała nagle.

— Nie wiem, może jeszcze z godzinę.

— Godzinę całą! a koniec świata?...

— Jeżeli nastąpi za kwadrans, on swej roboty nie skończy.

— I nie dopełni czynu miłości, który jest jedynem dobrem, szczęściem i celem... Szkoda go — szkoda takiego czynu, który może byłby nareszcie rozniecił nad głowami ludzkości blask, rozświetlający wszystkie ciemne zagadki bytu, uczynił wszystkie walki, ukołił wszystkie cierpienia. Żal mi niszczyć świat, jeśli przecież istnieją na nim tacy, którzy kochają wszystkich, co są biedni. Niech ludzkość żyje; niech pracuje i walczy i szuka nowych dróg aby dojść do celu, tylko niech ją po tych nowych drogach prowadzi stara a wiekuista miłość!

Irena Mrozowicka.

Z „Bajek nowożytnych“.

I. Krowa o 13 wymionach.

Była krowa o 13 wymionach — zwano ją Polityką. Pasała się na łące ludów, poila się ich potem, deptała słomę pożądań ludowych. U każdego z jej wymion siedział *Finanzwach*, który ją doił. I było jej dobrze.

Mówiono, że to zaklęta księżniczka.

Stara wiedźma Biurokracya jeszcze przed wiekiem miała ją obrócić w to upośledzone bydlę o twarde centralistyczne nogach. Aż przyszła nagle wrona ludów i z nią przedziwnie piękna wieszczka w szacie ze słońca, nadzieją haftowanej, dobra wieszczka Wolność. Dotknęła krowy o 13 wymionach czarodziejską różdżką i oto z ciężkiego, przeżuwanego podatku, sieczką bydlęcą, stała się — siwopióra Orlica. Dziwicie się? Wszakże o dziwniejszych jeszcze przemianach opowiadają bajki... Orlica tedy wleciała ponad góry, ponad skały, ponad lasy, obwieszając ludom panowanie Idei. U jej piór gdy wznosiła się ku słońcu, wieszały się całe klucze lkarów o skrzydłach z wosku... Mniejsza o to, że wszyscy runęli na dno przepaści. Idea tryumfowała przez chwilę.

Była to piękna chwila...

Ale przeszła. Wkrótce potem słoneczną wieszczkę Wolność zamknęto w papierowym więzieniu z artykułów i paragrafów, a rządy nad światem objęła jej daleka kuzynka, stara panna Konstytucya. Płotka powiada, że doradczą jej nie przestała być odtąd stara wiedźma z przed wieku, Biurokracya, tak straszna pałająca nienawiścią do biednej zaklętej księżniczki. Znowu zaczął się dla nieszczęśliwej szereg tortur i metamorfoz.

Postać Polityki zmieniła się niemal co rok.

To była młodym dyabelskim wszelkich ambicji, to zalotnicą umizgającą się do wszystkich, na prawo

i na lewo, to symbolem różniczkowo-łączącym o federalno-centralistycznym „bączku“, to stroiła się w groźny kask Bellony, to w czapkę frygijską równoprawnienia. Wreszcie stała się huśtawką, bujającą między niebem a ziemią i zarazem Molochem, bóstwem w postaci miedzianego wołu o rozpalonych żarem bokach, pochłaniającem: idee — zapaly — dobre chęci, systemy — i ludzi.

Na czole tego Molocha niekiedy ukazywała się w mgłach i żarach kabalistyczna cyfra: §. 14.

A u stóp wyniosłej skały, na której sterczało bóstwo, falowały tłumy, władzy i użycia żądne. — Wielu szalało z uwielbienia i przygrywając na mandolinach, śpiewało pieśni czułą i słodką:

— O, du, mein Alpenreich!

Inni krzyczeli: — „Wacht am Rhein!“ Jeszcze inni: „E viva Italia!“ Ci: „Precz z żydami“. Tamci: „Niech żyje socjalna demokracja!“ A wielu mówiło: „Moloch niechaj ich pożre, byle nam było lepiej...“

Wreszcie na uboczu stała kontuszowa garstka z nad Wisły, Sanu, Dunajca i Dniestru i wzdychała: „Cóż! gdy trzeba, pójdziem na ofiarę... Może stąd światło zabłyśnie!“

A za węglem ukrywał się „śiętki“ polityk i szeptał:

— Poczekajmy, aż Moloch ostygnie... Wtedy weźmiemy go za rogi.

I ten — miał przyszłość.

II. Klucze.

Byli sobie dwa bliźniaki, bardzo mało zresztą do siebie podobne. Jeden nazywał się po prostu Klucz, drugi Sztecher.

Obu bardzo poszukiwano. Czemu? Ze względu na ciepłą i grubą ich ciotkę, która się zwała — Kasa Werthajmowska. Ogniste miała serce a w sercu tem płonęły złote korony i dukaty czerwone, tulili się miłośnie jedwabne bankocette. Ta ciocia obydwojgu mogła bez bliźniaków, one jedynie otwierały jej serce dla ludzi.

To też ludziska uwielbiali obu.

Nikt nie był tak miły, jak Klucz po prostu, nikt tak foremny, jak Sztecher. Podziwiano ich kształty i polor. Gdy gruby bankier brzęknął bliźniakami w kieszeni, wszystkich przejmował słodki dreszcz. Artyści śpiewali na cześć ich pieśni. Inni — praktyczniejsi — chcieli odtwarzać kształty ich... w wosku. Niektórzy, aby wejść z nimi w bliższe stosunki, gotowi byli na wszystko, nawet — na kryminał.

Naraz skończyło się to, jak uciak.

Uwielbienie pierzchno. Wszyscy zaczęli się odwracać od bliźniaków. Porzucono ich na śmieć i nawet stary handeles nie chciał się schylić, ażeby ich podnieść. Czemu? Bo kasa, którą otwierali, była już... próżna.

III. Kwiaty mogilne.

Trzech poetów przyszło na cmentarz wspomnienia z trzema trumienkami. Jedną oprędy całą mgły srebrzyste, drugą okrywał całun z gwiazd złotych, trzecia była przybrana w szkarłat i białe róże. W każdej spoczywał trupek.

— To pogrzeb cząstki mego ducha, która skamieniała w walce z życiem — wyszeptał jeden z poetów.

Drugi rzekł:

— Sfinksy rozszarpały moje serce, szczątki tu składam.

A trzeci dodał:

— Umarła boleść grzebie...

Usypali trzy mogiłki, zrosili piasek suchy perlami swoich łez — i odeszli.

A wtedy te mogiłki stały się przedmiotem ukochania całej natury, wdzięcznej poetom za ich słodkie pieśni. Słońce zlało łagodne swe promienie na szary piasek mogił i całowało trawę, wyrwywając się z ich szczeliny. Ciepły wietrzyk miłośnie je pieścił, rosa poila. a krzewy i kwiaty, chyląc miłośnie czoła, stały im zdala przez niezawodnych posłów, barwne motyle i wiatr posłuszny — najdroższe swe nasiona. Słowiki urządzały mogiłkom co noc przedziwne słodkie serenady.

Aż pewnego ranka, po jednej z takich nocy miłosnych, nieprzespanych, trzy mogiłki okryły się zielenią i kwieciami... Cały świat witał je radośnie, a gromada przelotnych aniołów zbiegła od stropu niebios, ażeby zobaczyć cud.

I oto ujrzała: na jednej z mogił, pierwszej z brzegu, pośród kwiatów ognistych o barwach jaskrawych i kłócących się ze sobą, otoczony ostami, wyrastał Piolun goryczy i nienawiści.

Na drugiej chwiała się tak blada, że aż prze-zroczysta, dziwnie niska i rozplakana Lilia rezygnacyi.

Z trzeciej mogiłki bił blask. Potężny i smukły promienisty jak słońce samo i biały, jak śnieg wiosenny, wznosił się zrodzony z bolu ducha, na dnie rozbitego serca. — Kwiat myśli.

Aniołowie osłupieli... Dopiero po chwili, odwróciwszy wzrok ze smutkiem od pierwszej z mogił, nad drugą uronili łzę gorącą, a nad trzecią zawisli w milczeniu, wiankiem, jak stado białych jaskółek... Potem odlecieli do niebios, śpiewając:

— Hosanna, hosanna...

W tej pieśni towarzyszyły im wiatry polne i ptactwo i cała natura

h. n.

Kiedy przyszedł na świat, dziecino moja, kiedy twój pierwszy krzyk usłyszałam, kiedy objęłam wzrokiem twoje drobne, czerwone, pomarszczone ciało, ach, dziecko! ani przeczuwaś, jakie to było dla mnie moralne wstrząśnienie. Boska ekstaza — i smutek głęboki; radość — i strach i litość bezmierna.

Byłaś tak brzydka, moja pieszczołko jedyna, że chyba tylko matki, lub ojca oko z rozrzewnieniem, — a nie z odrazą, spoczywało na tobie, — a taka przytem niedołężna, a taka niezgrabna! Tak pocieszenie się krzywiłaś, tak bez sensu rączkami i nóżkami wywijając! Małutka karykatura człowieka, taka biedna! — ale taka droga, taka ukochana i taka moja! Śmiech mnie brał, gdy ci co przyszli mnie odwiedzać i ciebie zobaczyć — chwalili cię i wynajdywali to do ojca, to do matki zaszczytne podobieństwo.

Jacy grzeczni ludzie, ale jacy smieszni! Czyż oni myśleli, że mnie ich pochlebstwo oszuka? Czy myśleli, że moja macierzyńska miłość estetycznych rozkoszy, lub zadowolenia próżności potrzebuje? że cię więcej kochać będę, gdy cię pochwalą? Toż ja wiedziałam, że ani do mnie, ani do ojca, ani wogóle do człowieka podobną nie jesteś. Ja wiedziałam, że to tylko taki maleńki zaczątek ludzkiej istoty, szkic człowieka, kawałek ciała i odrobina duszy. Ach! wiedziałam, że twoje życie, to tylko próba życia. Nie tajne mi były ani tysiączne niebezpieczeństwa, na które jesteś narażoną, ani wykazy statystyczne, dowodzące, ile się takich prób niedaje.

Co ludziom grozi katarem — niemowlęciu śmiercią.

Boże! jak ja się bałam o ciebie! Co mi z tego czyś ładna, czy brzydka, mała, czy duża, mądra (byli tacy, co i to widzieli), czy głupia! Bylebyś tylko żyła!

Tuliłam cię do piersi, choć upadałam ze zmęczenia i wpatrywałam się w ciebie otwartą, nieporuszoną zrenicą, śledząc każdy ruch twej buzi, każde drgnięcie twej powieki. Pilaś chciwie, a może się zdawało, że wszystkie siły moje w siebie chłoniesz, że życie ze mnie ucieka, że mózg mój wysysasz, myśli obezwładniasz, uczucia hypnotyzujesz.

Ogarniała mnie jakaś niemoc fizyczna i umysłowa, zamierałam, świat znikał mi z oczu — tylko dwóch rzeczy byłam świadoma; tego, że ty żyjesz, że jesteś, mojem dzieckiem, krwią z krwi mojej, kością z mej kości i tego jeszcze, że ja jestem twoim światem, podstawą twego istnienia i że żyć musisz — i to moim kosztem.

Te myśli trzymały mnie w ciągłym rozbudzeniu; śmiertelnie zmęczona — oka zamknąć nie mogłam, bezwładna — ani na chwilę nie traciłam świadomości.

Szczęściem byłaś zdrowa i żyłaś, szczęściem moje siły dla nas obu starczyły. Ty rosłaś i tyłaś, spoglądałam na ciebie, pieściłam cię i życie mi wracało. Śledziłam każdą drobniutką, dla zwykłych oczu nie dostrzegalną przemianę twej postaci. Widziałam, jak twoja główeczka przybierała kształty normalne, jak skóra się wygładzała i biała, jak ponad oczami zarysy brwi się ukazały, jak usteczka — te twoje wdzięczne, różane usteczka po raz pierwszy złożyły się do uśmiechu, czy do pocałunku.

O! ja najpierwsza dostrzegłam, że ty będziesz ładna naprawdę. Czy się ucieszyłam? tak. Czy cię za to więcej pokochałam? Sumiennie odpowiem, że nie. Twój wdzięk, twoja uroda, ma znaczenie dla ciebie i dla ludzi, — jest jedną korzyścią, jednym darem, jedną siłą więcej w życiu, ale im mniej obdarzona jesteś, tem więcej ci matka potrzebna, bo miłość macierzyńska nie snuje się, jak inne uczucia ludzkie z szeregu miłych wrażeń, powtarzających się i wzmacniających wzajemnie, nie jest skutkiem tysiąca drobnych przyczyn takich, jak piękność, wdzięk, dobroć, rozum, talent i t. d., nie wzrasta i nie dojrzewa — jest od razu całą, pełną, niezmienną. Stanowi ona dla dziecka dopełnienie wszystkich braków, wynagrodzenie wszystkich bólów, krzywd i przykrości. Jest ślepa — mówią ludzie. Co za śmieszne wyrażenie! Im się zdaje, że kochać można tylko na zasadzie jakiejś uznanej doskonałości, że jeśli kocham dziecko brzydkie, to nie widzę jego brzydoty, jeśli złe — to na jego wady oczy zamykam. Nie prawda! Miłość matki jest jasnowidząca, wszystko odczuje i wszystko dostrzeże, nawet cien ułomności, nawet najdrobniejszy zły skłonności zaród.

Ale jest ona zarazem bezwarunkowa, bo powstaje na tle tak wielkiej odpowiedzialności, że się z żadną inną mierzyć nie może.

Od chwili, gdy żyjesz, pieszczołko droga, nie pamiętam ani godziny, żebym cię trochę więcej, lub trochę mniej kochała. Twoje łzy i uśmiechy, twoje krzyki i twoje zabawy, twoje pocałunki, lub złości, wybuchy, wszystko to w równym stopniu poruszało moje serce i równie silnie wiązało mnie do ciebie. Martwiłaś mnie często — nie gniewałaś nigdy.

Kiedy spostrzegłam w tobie choćby najdrobniejszy objaw twoich wad dziecinnych, uporu, złości, zazdrości, egoizmu, łakomstwa, tego wszystkiego, co ludzie ogólną nazwą niegrzeczności określają i pod ten paragraf domowego podciągają kodeksu, który jest karą klapsów, różgi, albo postawienia w kącie zawarowany, to mnie ból serdeczny przejmował, — skrucha i obawa.

Toć wszystko, co ty masz, ja ci dałam. Jeśli przyczyna złego tkwi w tym organizmie — toć on jest przeciwko mojej własnej krwi wytworem, jeśli to dziedziczne — toć ja cię obdarzyłam całą olbrzymią, a wątpliwą wartością — co sobie i po najodleglejszych

przodkach sukcesują, a jeżeli to wada wychowania — ah! to wtedy wina moja ciężka, wina bezpośrednia — nie ciebie, lecz siebie samą karać powinienam, — nie ty, lecz ja muszę grzech odpokutować i złe wyrządzone naprawić, — ażeby gorszej, spóźnionej kary uniknąć.

Ile mnie to kosztowało, dziecino moja, gdy ci jakąś pedagogiczną przykrość zrobić musiałam, jak mnie każdy twój płacz do głębi serca przesywał! Ale strach dodawał mi siły i odwagi. Strach, żebyś nie karana, rozpieszczona wskutek mego nadmiernego pobłażania nie stała się dla mnie żywym napomnieniem, uosobioną karą za grzechy. Żebyś ty mój ukochany, uwielbiony aniołku — nie była kiedyś istotą przewrotną, złą, zepsutą, szkodliwą i pogardzoną.

Kiedy po jakimś twoim dziecinym występku moi bliscy, patrząc na moją twarz smutną i przygnębiającą, mówili mi: — „To dziecko jeszcze, jak można brać te sprawy na seryo“ — ich słowa nie pocieszały mnie wcale. Ja matka, ja patrząca w przyszłość wzrokiem jasnowidzącej — wiedziałam, że wraz z tobą wady twoje rosnąć będą, jak włosy i paznogie, jeśli ich nikt nie obciągnie. Widziałam w tobie zawsze i wszędzie przyszłego człowieka, za którego odpowiedzialność przyjąć muszę, bo twoje sumienie — to ja.

Nie myślałam nigdy o tobie: „Jakie to nieznosne dziecko!“ — ale myślałam często: „Jaka to biedna istota!“

Ile mnie kosztowała, ile mnie wewnętrznie kosztuje ta nieustanna walka z twoimi wadami, to tylko matki zrozumieć mogą — i ty kiedyś, jako matka dopiero zrozumiesz.

Och! i wtedy nawet, kiedy inni tylko twoją wdzięczną minę, twój humor, lub spryt dziecinny podziwiali — mnie niekiedy bolesne przecucie — nie, uchowaj Boże, nie przecucie, lecz obawa serca ścisła.

Kiedy całowałaś kogo za ofiarowany cukierek, kiedy zaprzestawałaś krzyku na wzmiankę o obiecanej zabawce, lub gdy — naśladując starszych — sama swoim nieudolnym, niezrozumiałym szczebiotem kłamliwie wypowiadałaś obietnice, wówczas mnie smutek ogarniał.

Kłamstwo, wyrachowanie, hipokryzja. Takie strachy, takie widma stawały mi przed oczami i przesłaniały widok twej kędzierzawej, rozczochranej główki.

Ale nie mogą cię krzywdzić, aniołku kochany, nie samych trosk, lecz i pociech wielu dostarczałaś mi w swym króciutkim życiu. — Och! i jakich pociech!

Leżąc od pierwszego, rozumnego twych dużych czarnych ocząt spojrzenia, od pierwszego uśmiechu, pierwszego ruchu rączek, które się w stronę jasno płonącej świecy wyciągnęły — aż do nieudolnych prób dziecięcego szczebiotu — ileż jasnomych promieni na drogę mego życia zasłałaś. Każdy nowy objaw duszy, pierwszy brząsk myśli i uczuć — każdy ślad rozwijającej się świadomości i rozpoznania, przyspieszały radosne bicie mego serca. — „Więc ty widzisz! dziecino moja, więc słyszysz, czujesz, rozumiesz! więc ty naprawdę człowiekiem być zaczynasz!“ Całowałam twoje różowe stopki wdzięczna za to, że żyjesz, za to, że w twoich otwartych źrenicach myśl błyska, że urywanymi ruchami twych rączek wola kieruje.

Już wtedy kochać mnie zaczęłaś. Oh! nie śmiej się ze mnie, figlarko moja, ja się od razu na pobudkach i charakterze twoego uczucia poznałam.

Kochałaś mnie, bo ciepło ci było na matki łonie, bo gdy cię trzymałam na rękach, to szerszy krąg spojrzenia twoje zataczały, bo kiedy się do twoego posłania zbliżyłam, to ci zawsze jakąś ulgę przyniosłam, jakąś niewygodę usunęłam, jakiegoś środka przeciw twoim dziecinym dostarczałam cierpieniem. Kochałaś mnie, bo mówiłam do ciebie pieszczotliwym głosem, bo czytałaś miłość w mem spojrzeniu, bo cię każdy mój uśmiech całował, każde dotknięcie ręki pieściło. Kochałaś mnie, bo ci śpiewałam ciche, ale melodyjne piosenki, bo cię bawiłam i rozweselałam, bo przy sercu mojem usypiałaś słodko, spokojnie. Byłaś taka słaba i niedołężna, ja ci byłam tak potrzebna! Zastępowałam ci brak siły i brak rozumu i gdybym cię przez dzień jeden kochać i pielęgnować przestała, byłabyś zginęła, ptaszyno moja drobna.

Ale jednak uczyłaś się kochać naprawdę. Widząc twarz moją smutną, krzywiłaś się do placzu, a gdy sądziłaś, że mi ktoś przykrość robi, zasłaniałaś mnie swymi drobnymi rączkami. Oddawałaś mi pieszczotę za pieszczotę, a w placzu tuliłaś moją głowę tak, jak ja twoją zaplakałą twarzyczkę do piersi tuliłam. A potem zaczęłaś się dzielić ze mną twoimi cukierkami i zabawkami i nie ze mną tylko. Dziecko moje, jaka to była radość dla mnie, gdy spostrzegłam, że ty nie mnie tylko, ale i innym dawać lubisz, że umiesz się cudzą przyjemnością cieszyć, że umiesz swoją drugiemu dziecku odstąpić zabawkę. — „Będzie dobra“ — myślałam z rozkoszą — i z rozkoszą myślałam także „będzie rozumna“, — gdy spostrzegłam jak zastanawiałaś się nad cieniem własnej rączki padającym na ścianę, jak badawczo go obserwowałaś, cofałaś rączkę i widziałaś, że cień znika, podnosiłaś, przekonywałaś się, że wraca znowu, — a natężenie myśli znać było w szeroko otwartych źrenicach. Byłaś wtedy taka mała, miałaś 7 miesięcy zaledwie i ludzie śmiali się ze mnie, gdy im o tym objawie inteligencji wspominałam. — „Zasłepienie macierzyńskie“ — mówili. Eh! nie, nie zasłepienie. Nie darmo ja śledzę każdy twój ruch, chwytam uchem każdy dźwięk twojego głosu, nie darmo od rana do nocy

oczy moje na tobie spoczywają. Ja widzę głębiej, ja patrzę dalej, ja twojem uczuciem czuję, twoją myślą myślę — ja żyję tobą.

A wtenczas kiedy cierpisz, gdy chora jesteś, to ja każdy ból twój podzielam. Twoja bezsenność mnie męczy, twój kaszel mnie dławí, twoja gorączka mnie rozpala.

Ach, cóż to za straszne noce, te co się je przy łóżku chorego dziecka przepędza. Wąta i drobna istotka muci się z gwałtowną chorobą, a ja, matka patrzeć na to muszę bezsilna, bezradna. Chciałabym ci siły moje odstąpić, oddech mój wlać w ciebie, snu ci mojego użyć. Nie mogę, nie mogę, nie mogę!

A ty płaczesz, rączki do mnie wyciągasz i jestem ci skarżysz, że nie usuwam twych cierpień, że nie daję ci zdrowia na zawołanie, tak jak na zawołanie podają bułeczkę i mleczko, świecącą zabawkę lub kolorowy obrazek. Tak przywykłaś widzieć we mnie wszechmocną i dobroczynną potęgę, zawsze czujną, opiekuńczą, troskliwą — a ja oto zawodzę twoje dziecinne zaufanie, głucha na prośby i skargi.

Ty tego nie rozumiesz, że ja nie mogę, nie mogę — nie mogę!

Gdybym wiedziała, że zdrowie dla ciebie kupię, opłaciłabym je ceną tego wszystkiego, co mam, co zapracować, co ukraść — co zrabować mogę.

Kosztowne własnych sił i zdrowia, trudów zabijających, upokorzenia, hańby — zbrodni — dobijałabym się o życie i zdrowie twoje.

To wszystko jednak daremne. Ja muszę tylko patrzeć i słuchać, śledzić rozwój choroby — i czekać.

Chcę się modlić — słowa pacierza płaczą mi się na ustach; nie umiem, nie pamiętam, nie mogę myśleć o tem, tylko w duszy zrywa się wielki krzyk, szturmujący w niebiosa.

„Boże, czy słyszysz? czy wysłuchasz? — Co masz dla nas? śmierć, czy ratunek? Ty wielki, — ty potężny, czemu dręczysz takie marne istoty?“

A męczarnia twa tak długa! Każda godzina twoich cierpień — jest rokiem dla mnie.

Ale nareszcie... — Cóż to? spokojniejsza jesteś, zasnęłaś, może cię ten sen pokrzepi. Oddycham, nadzieja wstępuje w moje serce, boję się poruszyć, żeby tego upragnionego, dobroczynnego snu nie spłoszyć. Otwierasz oczki i uśmiechasz się lekko. Ach, tak, widzę, że ci lepiej. Słaba jeszcze, ale już rączkę wyciągasz i zegarkiem moim chcesz się zabawić. — Dziecino moja! ty mi znowu powracasz, ty pozostaniesz ze mną! Ty żyjesz — więc i ja żyć mogę, w ciebie siły wstępują, we mnie odwaga; będziemy żyli, pieszczotko.

Łóżeczko malej rekonwalescentki to tron; ty z niego królujesz, a ja u jego stóp siedzę, wzrokiem wiernej niewolnicy myśli twoje odgaduję, czuję uchem chwytam rozkazy. „Chcesz jeść?“ — ach, co za szczęście! moja najjaśniejsza pani raczyła zażądać rosołu! „Chcesz się bawić? Co za rozkosz! więc znowu zajmuję cię laleczką!“ Królowo moja! — twoje drobne stopki całuję i składam ci pokorne dzięki za to, że żyć pragniesz, Dobrodziejko moja! życie mi wracasz, szczęściem mnie obdarzasz!

I znowu zaczynasz szczebiotać i biegać, grymasić i naprzykrzać się, tłuc lalki i drzeć gazety. Znowu mi robisz hałas i nieporządek w domu, znowu cię mam taką jak dawniej rozkoszną tyrankę, pieszczotliwą i słodką dręczycielką.

Moje najdroższe, rumiane słoneczko znowu świeci i blaskiem cały dom opromienia, moja ptaszyna świergoce — i wiosna zakwitła.

Bawisz się i swą zabawą mnie wciągasz w czarowną krainę swoich dziecinnych urojeń, moje dzieciństwo mi wracasz.

Lalka idzie na spacer; tam pod fortepianem jest ogród. Siada na pedale, to laleczka, a tam, na tym dywanie jagódki rosną. Zbierasz, dajesz lalece, oh! jakie dobre, jakie słodkie, jakie soczyste. — „Mamo, jedz!“ „Oh! mama zje także, naturalnie. Dziękuję ci za pyszne jagódki“ i biorę do ust twe tłuszcikne, różowe paluszki.

Ty patrzysz na mnie figlarnie i mądrze, jakbyś się chciała spytać, czy mama jadła na prawdę, czy też tak się bawi, jak ja. Śmiejesz się, tak cię to cieszy, że w twym urojonym świecie znaleźć się umiem. A i w moim świecie, w świecie rzeczywistym coraz lepiej się orientujesz. Codziennie nowe sprawiasz mi niepodzianki. Już i to spostrzegłaś, to pamiętasz i tamto rozumiesz! Mądra jesteś przy swej dziecinnej głupocie. Wciąż nowe lądy odkrywasz, mój mały Kolumbie, i jak Kolumb popełniasz pomyłki. On Amerykę Indiami — ty księżyc świecącą pilką nazywasz, rączki do niego wyciągasz i zabawić się nim pragniesz. Śmieję się z ciebie — z Kolumba się nie śmieli. Taka to sprawiedliwość na świecie!

A jednak, jak ty genialnie swoim małym zasobem pojęć operujesz, jak zręcznie na mocy kilku wiadomości — niewiadome X określasz! To my tylko wiemy obie, ty i ja. Strasznie mądra będziesz, dziecino kochana, jak to widzę, ale nie powiem nikomu, bo by nas obie wysmiali! — Kiedyś — wszyscy poznają się na tem.

Kiedyś! — kiedyś! Czy ja wiem, jak to będzie kiedyś? Co ciebie, co mnie czeka?

Czy danem mi będzie patrzeć na to, jak z dziecka na dziewczętko, z dziewczętką na kobietę wyrośniesz? Czy będę cię musiała porzucić, obcej pozostawić opiece? O! nie chcę, ja nie chcę umrzeć, bo ty nie możesz zostać sierotą! Kto zdoła tak jak ja duszyczkę twoją przenikać, myśli uprzedzać, żale koić, obawy rozpraszać? Kto takim serdecznym uściskiem przytuli cię do serca, kto jednym słowem i jednym dłońmi dotknięciem płacz twój uciszy?

Kto ci pomoże zostać takim człowiekiem — jakim w moich marzeniach jesteś? Kto z drogi twojej usunie trudności, kto ci w chwilach zwątpienia doda odwagi, w przystępie pokus — w dobrem umocni?

Ach ileż to walk i cierpień, ile upadków ducha, ile rozczarowań i gorczy czeka cię jeszcze!

Ty tego nie przeczuwasz, szczebiotko moja, chcesz rosnąć i cieszyć się, że jesteś duża — duża — ot! taka! — a rączkę wysoko, wysoko dla oznaczenia swego wzrostu podnosisz.

Bądź spokojną, dziecino, będziesz duża — taka jak mama — i jak ona może będziesz musiała noce bezsenne w łzach pędzić i jak ona może tracić będziesz wśród drogi swojej kolejno wszystkie twoje młodości skarby, nadzieje i złudzenia, wiarę w ludzi i wiarę w siebie, siłę do pracy, spokój umysłu i zdolność do życia.

Nie możesz wiedzieć tego, maleńka moja, jak drogie komorne opłacać musimy za to nasze ziemskie mieszkanie — jesteś jeszcze w klasie wolnej od podatków; dziś my, rodzice, za ciebie wszystkie przejmujemy ciężary. — Jakim to wielkim kosztem okupuje się twoje zdrowie, twój spokój, twoją wygodę, jednodniowe zabawki i przelotne twoje radości wybuchy!

Może ty się tego nigdy nie dowiesz. Może twoje życie jakimś gładszym, spokojniejszym potoczy się torem; może my teraz — naszymi cierpieniami i troskami dla ciebie przyszłe szczęście kupujemy. — Jeżeli tak jest — to radabym podwoić to brzemie, co mi kroki przygniata, bylebyś ty lekka jak ptaszek — jak ptaszek śpiewna, wdzięczna, ziemi brudnej nie dotykając wyznaczoną ci przefrunęła drogę.

Czasem w marzeniach moich widzę cię taką — szczęśliwą, promienną jak słońce i jak słońce dobroczynną. — Twoje spojrzenie — światło co ciemności rozprasza, twój uśmiech — poranek wiosenny, twoje słowo — balsam na rany, — twoje serce — kryształ, twoja dusza potęga, co złych rozbraja, a słabych podnosi.

Kochająca i kochana idziesz naprzód szlakiem kwiecistym, za tobą chór błogosławieństw, przed tobą jasna, wielka ideału gwiazda nigdy nie zachodzi za chmurę.

Ja się tą myślą bawię, ale ja wiem, że to marzenie. — Czy są tacy ludzie na świecie, dobrzy, mądrzy i szczęśliwi zarazem? — Nie — nie wiem, nie widziałam.

Wielkie ognisko szczęścia rozprasza się i rozstrzela. Jednemu błysnie iskrą przelotną, innemu płomieniem zaświeci — ale bodaj czy nie zawsze w końcu dym tylko i popiół zostaje. — Może ktoś się tam wciśnie w krąg najbliższy i wygrzewa się przy niem spokojnie, bezpiecznie. Może, — ja nie wiem, bo ja tam jeszcze nie byłam.

Och! gdybym mogła, dziecino moja, przewidzieć twoją przewidzieć, to może mniejbym się czuła pokorną i skępowaną w obec ciebie.

Czyż ja wiem, co ci dałam, dając ci życie? Czy ja wiem, na co zasłużyłam z twojej strony, na wdzięczność, czy na złorzeczenie?

Ani moja troskliwość obecna, ani cierpienia, ani pocałunki i pieszczoty, nie okupią mej winy, jeśli przyszłość kryje dla ciebie nędzę i poniewierkę, rozpacz lub hańbę.

Zimny dreszcz mną wstrząsnął, ale ty, pieszczotko moja, nie umiesz nawet jeszcze złego przeczuwać.

Leżysz cicho w łóżeczku twojem, długie rzęsy spadają na zarumienione policzki, na ustach błąka się jeszcze cień tego uśmiechu, którym mój pocałunek na dobranoc przyjął. — Ciemno-złota kędzierzawa główka tonie w puchu białych poduszek, rączki spoczywają na kółderce, a lekki twój oddech porusza fałdy koszulki.

Śpij, śpij dziecino. Niech ci się śni twoja laleczka w niebieskiej sukience, biały kotek, dużo ładnych kwiatków, piasek do klepania babek, albo choinka ze świeczkami, albo obrazek z Bożą czerwoną i złotą.

Gdy widzę cię taką spokojną i moje obawy umilkną. Czyż mógłby spać grom na tę główkę złocistą, czyżby te drobne, pulchne rączki mogły się ranić o ciernie?

Ale co to? Nad twoim łóżeczkiem błyska jasność. Czy to już słońce świta? Nie; ciemno wokoło, tylko ta ściana taka biała i taki ma kształt dziwny. Tam ktoś stoi, jakaś postać świetlana; twarz pogodna, ale bez uśmiechu, piękna i poważna, a spojrzenie ma głębokie, przenikające, potężne. „Ja ci powiem przyszłość twojego dziecka“ mówi.

Chciałam się zerwać, krzyknąć, nie mogłam. Głos zamarł mi w gardle a strach członki skępował. Tylko całą siłą mego wzroku wpoilałam się w blade usta tajemniczej postaci, żeby je do milczenia zakłąć i całą duszą moja wołała: „Litości! nie mów! zostaw mi moje nadzieje, zostaw mi moje złudzenia, zasłoń przedemną tę nagą, bezwzględna prawdę, bo jeśli ta przyszłość to ból — jeśli...“

Zbudziłam się i twarz moja zalana była łzami — a ona, królowa moja, spała cicho i uśmiech błąkał się po jej zarumienionej twarzyczce.

I. Moszczeńska.



Dramat zalotnej kobiety.

Dramat zalotnej kobiety.
Pięć aktów, dwadzieścia wierszy.
Klejnety i toalety.
„Agie ramiona... akt pierwszy.

Jastrząb w postaci młodziana;
Na niebie małżeńskim smugi;
Flirt, czułych spojrzeń zamiana;
Westchnienia, szepty... akt drugi.

Lekkie wyrzuty sumienia;
Rodzaj duchowej zamieci;
Prawda wyłania się z cienia;
Majaczy, znika... akt trzeci.

Zaklęć, przysięg tarany;
Żądza z rozsądkiem gra w karty;
Serce przyparte do ściany;
Drżące, bezradne... akt czwarty.

Labirynt; wstydu iskierka,
Zaledwie oświeca kąty;
Aż gaśnie, i bohaterka
Stacza się w otchłań... akt piąty.

M. Rodak.

Nowe pieśni.

Ruch wydawnictw gwiazdkowych u nas najmniej dotyka jednej tylko gałęzi wydawniczej — muzycznej. Nakładcy bowiem nasi muszą liczyć więcej na sezon, który też zwykle z początkiem przynosi rozmaite nowości muzyczne, — mniej zaś na chwilowo ożywiony pokup gwiazdkowy. Z początkiem też obecnego sezonu muzycznego wydała nakładowa księgarnia Krzyżanowskiego w Krakowie nowości, z których w niniejszym artykule zdać sprawę zamierzamy. Plon to bogaty zarówno ilością jak i jakością, a prym w nim trzymają piosenki na głos solowy.

Dwie pieśni do słów Zygmunta Krasińskiego: 1) „Przy rozstaniu” — 2) „Elegia”, tudzież „Zawód” do słów Kazimierza Tetmajera, oto najświeższe piosenki mistrza jubilat Wł. Żeleńskiego. Cała ta wiązanka nowych trzech utworów znakomitego artysty wielce jest zajmująca. Spotykamy tu pomysły szlachetne, ubrane w wytworną szatę formy wykończoną, odznaczającą się tak dobrą harmonizacją, jak i pięknem przeprowadzeniem. Nie spotykamy tu rażących dyssonansów *fin du siècle*’u, autor snuje myśl spokojnie z bogatej fantazji, ale nie stara się nas zdumiewać ekscentrycznością. Jest to muzyk wyborny, czujący i myślący, który, co ma na dnie duszy, wypowiada z prostotą, popierając gruntowną wiedzą, pewną drogą swoich.

„Przy rozstaniu” — to piosenka, przy całej swej surowej prostocie, piękna i wdzięczna, choć bynajmniej na efekt nie obliczona. Rzecz to nader interesująca, tak ze względu na melodyę oryginalną i surowo prowadzoną, jakoteż i akompaniament łatwy i płynący na pozór, lecz w gruncie rzeczy wymagający wprawnej i ładnej gry. Żeleński uczynił tu akompaniament w miarę trudnym. Drugą piosenkę, „Elegię”, rozpoczyna smętny synkopowy akompaniament na wiolinie, rzeźbiąc w górnych regionach basów piękną, kołyszącą się melodyę. Akompaniament i piosenka składają się na całość wytworną i poetyczną, w której melodyja snuje się miękko i przy całej swej smętności nader powabnie. Rzecz to wdzięczna do popisów estradowych, a choć tekst wymaga deklamacji bardzo wyrazistej, nie możemy zaliczać jej do rzędu trudniejszych utworów.

Trzecia piosenka „Zawód”, pierwszymi kilku taktami daje poznać rzecz wytworną i poetyczną. Cała też jest pieśnią i pełną rzewnej zadumy i śpiewną, a wskutek tego będzie bardzo wdzięczną do popisu dla śpiewaków, lubujących się w utworach o arcyznym nastroju.

Dwie, w całym tego słowa znaczeniu dobre i piękne piosenki dał nam p. Zygm. Noskowski „Serenadę” i „Dumkę”. Serenada odznacza się piękną choć nie bardzo oryginalną, bo włoskie piosenki Galla przypominającą melodyją, ilustrującą atoli przewybornie tekst, wraz z nietrudnym akompaniamentem. Dumka, jakkolwiek traktowaną jest więcej *modern*, ma wszystkie cechy, a szczególnie rzewną melodyjność dumek, niestety czem raz mniej wykonywanych przez naszych śpiewaków i amatorów i coraz to rzadziej ukazujących się jako nowe kompozycje z istotną szkodą dla tej specjalnie naszej formy muzycznej, ustępującej nowym i naśladowanym często niezgrabnie formom obcym. Obie piosenki są to rzeczy melodyjne, a śpiewne i przy całej swej łatwości wdzięczne. P. Noskowski dedykował je Floryańskiemu, artyście opery praskiej.

Z teki pośmiertnej niedawno zgasłego muzyka krakowskiego Alfonsa Dauna, wydano piosenkę „Na pamiętkę” (słowa Adama Asnyka). Łabędzi ten śpiew pięknie nadzieje rokującego młodego muzyka, odznacza się dobrą i pełną prostotą melodyją i bardzo łatwym akompaniamentem. Melodyja wiąże się ściśle z pięknym wierszem, tworząc doskonałą rzecz dla śpiewaków dobrze deklamujących. Oprócz omówionej piosenki, wydano „Flirt”, polkę na fortepian, i „Ma-

Z nowości fortepianowych na baczniejszą uwagę zasługuje drugie wydanie „Kołod” w układzie Wincentego Richlinga, ś. p. organisty katedry na Wawelu. Układ kołod, wcale nie banalny, odznacza się wielką łatwością, a niektóre, jak np. „Anioł pasterzom mówi” — „W ciele Bóg małeńki” — „Dzisiaj w Betlejem” i „Gdy się Chrystus rodzi” są prześliczne. — Cała wiązanka melodyjną tworzą kompozycje Adama Wrońskiego. Są to: „Marsz Sokolów” — „Kadryle” — „Marsz zalobny” pamięci ś. p. Asnyka poświęcony, bardzo melodyjny; ochocze, pełne życia, werwy i zamaszystości mazury „Na Wysokim Zamku” i ostatni utwór „Szarotki”, walc. — Obfity ten plon wydawniczy zamyka „Marche Funebre” p. Jeana Ruckgabera, rzecz piękna i melodyjna, najeżona przeróżnymi trudnościami, w guście popisowych „kawalków salonowych” dla dobrze już w grze fortepianowej zaawansowanych panienek. Jeśli się nie mylę, utwór to dawniej skomponowany, cieszył się atoli wielką popularnością, stąd też w nowej i ozdobnej wydano go szacie.

Z wydawnictw chorałnych zanotować nam wypada pojawienie się drugiego zeszytu wydawnictwa Towarzystwa ludoznawczego „Pieśni nabożne”, pod redakcją prof. M. Sołtysa. Zawiera 8 kołod w układzie na chór mieszany: Żeleńskiego „Ach witajże”, Nie-wiadomskiego „Bóg się rodzi”, Dietza „Gdy się Chrystus rodzi”, Galla „Lulajże Jezuniu” i Sołtysa „W żłobie leży” i „Pan z nieba i z łona”, X. Walczyńskiego „Przybieżeli do Betlejem” i Szwarca „Z narodzenia Pana”. Poważne firmy muzyczne dają gwarancję i mówią same za siebie. Strona techniczna, znacznie lepsza od pierwszego zeszytu, wolna jest od błędów i wymownie świadczy na korzyść drukarni p. Golloba Zygmunta.

B. Ursa.

Ze współczesnej poezji ruskiej.

Bajka o zadowolonym człowieku.

Car chory. Spieszą z wszech caratu stron
Naprawdę sztuk lekarskich mistrze pierwsi:
Widocznie śmierci już ulegnie on,
Nie długo serce bić się będzie w piersi.
Błędni jeszcze w krąg oczyma śledzi,
I cóż! twarz każda w tłumie tej gawiedzi
Wyjawia mu radości skrytej ślad.
I zda się mu, że wszyscy już się radzą,
Jak dzielić się majątkiem carskim, władzą,
Gniew kipi w nim, — wywieszać by to rad.

„Lekarzy głupich, głupi bywa lek!”
Car nagle z bolu rozświecony powie:
„Precz niech uchodzi stąd tych głupców stek,
Lub się o woli mej ostatniej dowie...”
Milecienią chwila... — „Niech wróżbita stanie.
I w pół godziny w szarej stał sukmanie
Wróżbita siwy. Na sług carskich znak,
Jak gdyby z czoła władcy myśli czytał,
Chociaż nikogo o nic się nie pytał,
Odechrząknął tylko i przemówił tak:

„Potężny władco mój! chorobie Twej
Lekarzy tysiąc nawet nie zaradzi;
Duch niezadowolenia źródłem jej —
On trawi Cię, on na Cię śmierć prowadzi.
Jeżeli jednak sądzisz, że w potrzebie
Ja, rab Twój, władco, leczę mogę Ciebie,
Więc słuchaj mnie — ja radę dam Ci wnet:
Z człowieka, który jest zadowolony,
Koszulę zdejm, a będziesz ocalony,
Na swój szlachetny ją nadziawszy grzbiet”.

„Tak myślisz?” — mówi podejrziwie car.
„Tak?... Ale wiedz, że za skłamanie słowo...”
„Ja z rąk Twych, władco, dziesięć przyjmę kar” —
Dokończy starzec, a car duma znowu
I myśli: „Przecie między książętami,
Hrabiami, ministrami, magnatami
Zadowolony będzie z jeden człek...
Świadczyłem przecie łaski ludzom mnogim...”
Tak myśli car, a sługi już za progiem,
A sługi spieszą po wskazany lek.

Książęcy najpierw przestępują próg.
Powiada Miris: Prawda, że wygodnie
Żyć mogę. Zdrowia też użyzył Bóg.
Cóż, kiedy w lot mijają dni, tygodnie,
Miesiące, lata — śmierz mój żywot przetnie
I umrę starzec, umrę sam... bezdzietnie!
Któż wówczas po mnie schedę weźmie, któż?
I byłby książę jeszcze co powiedział,
Jeśli by przy nim dłużej kto posiedział,
Lecz sług nie było, nie słuchali już.

„Zadowolony? Byłbym może sam, —
Powiada Perrn. — „Lecz cóż! — tak jest i będzie —
Zaszczyty, łaski syją się przybłędzie,
Chociaż ja może zasług więcej mam.
Trzydzieści lat już służbę pełnię dziarską,
W pokorze zawsze wolę spełniać carską.
Cóż! przy podziale ziem zabranych znów
Lir, który przedtem wcale nie był znany,
Dostaje miast pięć, siola, lasy, lany,
A ja...” Nie słuchał nikt barona słów.

Do Lira przyszli. Powstał gwar i ruch
W chwili, gdy hrabia wstał od stołu właśnie
I na poduszek miękkich kładł się puch.
Usłyszał krzyki — teraz już nie zaśnie.
„Od kogo?” — Mówią. — „Mój ty miły Boże!
Zadowolony? Któż nim dziś być może?”

Car wie, co dawać. Po wszech pełno trwóg —
Lud się buntuje. Z miast przychodzą gońce,
Na głód się skarżą. Powiaż że tu koniec!
Nie skończył — sługi wyszli już za próg.

Minister Halim wyszedł zwiedzić park.
Zastają w domu panią ministrową.
Więc do niej idą. — „Większych pewnie skarg
W zapasie nie mam. Jedno tylko słowo...”
I do salonu chce posłańców prosić,
Lecz ci co żywo jeli się wynosić.
I tak, gdziekolwiek przestępują próg,
Czy to książęta są czy dygnitarze,
Narzeka każdy, żali się i skarży, —
Zadowolony — wszędzie biały kruk.

Już w inne strony swój zwracają bieg,
Do mieszczan, kupców, przemysłowców, kmieci
Naprawdę czeka chory car na lek,
Na próżno skra nadziei tli się, świeci.
Sług, zarobników, tłumu biednych ludzi
Nikt się nie pyta nawet. Wszystkich nudzi
Już monotoność skarg i przykrych słów.
Ze smętną w duszy myślą, zrozpaczony,
Jak pułk walecznych w bitwie zwyciężony,
Do domu wraca carskich gońców huf.

W skwar letni żaden tak nie wędnie kwiat,
Jak u nich serce teraz wędnie z trwogi.
Aż spojrzą — środkiem rynku sunie dziad.
A chociaż nędzny na nim strój ubogi,
W postawie jego dumę jakąś widać,
Oblicze jasne, — mogłoby się przydać
Szczęściwcom nawet. — „Dziadu! skarby masz,
Żeś taki wesół?” — „Całe miliony!” —
„Jak to?” — „A tak! bo człek zadowolony!”
„Zadowolony?... Dziadu! jesteś nasz!”

I radzi gońce — udał się im żart:
„Do cara dziada! Z nami dziad isć musi!”
I dziad się cieszy: przeciek on coś wart!
Śmiech porwał go, że słowa nie wykrztusi.
Przychodzą. Chory car na łóżku leży.
Popatrzy — własnym oczom swym nie wierzy.
„Ha, cóż! do śmierci — myśli — tylko krok”.
A dziad do ściany się w kąciu tuli.
„Zadowolony! Trzeba mi koszuli!
Koszulę daj mi!” — „Nie mam jej już rok...”

Wasył Szczurat

Miłosierdzie.

Kraj nasz obfituje w zakłady dobroczynne. Lwów cieszy się ludnością, która kieszeni nie szczędzi, serca nie odwraca na ocieranie łez nędzy. Bo istotnie nigdy może dążenia humanitarne, skierowane do złagodzenia ostrych objawów walki o byt, nie były powszechniejsze i nie ogarniały bardziej całokształtu życia ekonomicznego, jak w dobie dzisiejszej. Ale bo też nigdy ofiary tej walki nie były liczniejsze, ani jej objawy bardziej w oczy się narzucające, jak dziś w wielkich centrach nowożytnego życia miejskiego. Ofiary te objawiają się w dwóch kierunkach: ludzi zdolnych do pracy, którzy jej albo znaleźć nie mogą, albo nie usiłują i ludzi niezdolnych do pracy z powodu ułomności fizycznych. Z pierwszych rekrutują się w znacznej części żebracy, którzy ofiarności publicznej jako ciężar spadają. Walka z żebractwem prowadzona dziś jest na całym obszarze — nigdzie tak zastrzona, jak w miastach. Ustawodawstwo karne prowadzi tę walkę za pomocą środków represyjnych, nakładając równocześnie na społeczeństwo obowiązek przedsięwzięcia środków zapobiegawczych, celem położenia tamy wótczestwu i żebractwu. Miasta nasze gromadzą liczne zastępy jednostek, które nie znalazły pracy, nie szukają uczciwego zarobku, a odwołując się do miłosierdzia publicznego, wyzyskują łatwowierność publiczną ze szkodą ogółu, nadużywając zaś dobroczynności publicznej, działają przedewszystkiem na szkodę tych, którzy tego wsparcia publicznego nieodzownie potrzebują.

Ile w tym tłumie żebraczej nędzy kryje się niebezpiecznych i jak bardzo miłosierdzie ludzkie bywa wyzyskiwane ze szkodą istotnie biednych — o tem świadczą przeliczne wypadki z kroniki policyjnej i z Izby sądowych.

Słusznie też ustawodawstwo o ubogich widzi główny środek walki z żebractwem w przymusie pracy. Ustawodawstwo rozróżnia niezdolnych do pracy od usuwających się od niej. Pierwszych każe umieszczać w domach ubogich, drugich oddawać do zakładów przymusowej pracy.

Zarządzenia te jednak ustawodawstwa, zastąpiły społeczeństwo nasze nieprzygotowanem a obowiązkiem całego systemu instytucji poprawczych i domów ubogich spadł na kraj nasz nagle, w chwili, kiedy skarb krajowy nie mógł temu podołać. Miasta nasze, a nawet Lwów i Kraków nie posiadają instytucji krajowych, któreby w zupełności obowiązkowi temu odpowiedzieć mogły. Ten brak w naszych społecznych urządzeniach zapewne niebawem przez fundusz krajowy zostanie wypełniony. Dotychczas jednak wypełnia go jedynie szlachetna ofiarności publiczna i hojność publiczna. Tej ofiarności ogółu polecić można istniejącą we Lwowie dobroczynną instytucję „Domu pracy”, instytucję, która przy dobrych chęciach mieszkańców może przeszło setce ubogich zapewnić pracę, dać przytułek, słowem pozwolić żyć. Pamiętajmy o „Domu prac” we Lwowie.

Bolesław Lewicki.

2 przed 35 lat

Wspomnienie z roku 1863.

Ulegając pod naciskiem przeważających sił moskiewskich, nagromadzonych w Sandomierskiem, widział się ś. p. Dyonizy Czachowski zmuszonym rozpuścić swój oddział, jeden z najdzielniejszych, jeżeli kwiat młodzieży, trzymającej się ze swym osiawiałym wodzem przez 5 miesięcy, nie miał wyginać co do nogi.

Działo się to w czerwcu 1863.

— Dzieci! musimy się na razie rozprószyć! — zapowiedział przed frontem całego oddziałowi przegnębiony nasz Ojciec i otarł dwie grube łzy, spływające mu po policzku. — Zakopaliśmy broń i amunicję w mało dostępnych debrach lasów Daniszewskich i zaopatrzeni w certyfikaty, jako z ważnych powodów zostajemy urlopowani do czasu powołania, podzieliśmy się na mniejsze gromadki i po kilku lub kilkunastu rzuciliśmy się na wsze strony, żeby gromadnym marszem nie obudzić czujności otaczającej nas żelaznym pierścieniem hordy moskiewskiej.

Z trzema jeszcze kolegami obrałem drogę do granicy galicyjskiej przez województwo lubelskie, gdzie niewiele uwijało się soldactwa i nadzieja bezpieczniejszego przedostania się miała więcej prawdopodobieństwa.

Przebywszy Wisłę pod Józefowem na zwykłej tratwie, puściliśmy się bokami przez lasy, a kryjąc się w dzień po zaroślach, nakładaliśmy nocnymi marszami.

Raz na dzień wysuwał się jeden z nas po kole do jakiejś wioski, napotkanej po drodze, i przemijając się, jak lis szcztu przez psarnię, pomiędzy włościńskie zagrody, dopadał dworu lub plebanii, gdzie mu dawano jakiś skromny posiłek dla niego i towarzyszy.

Trzeciego dnia takiej wędrówki dotarliśmy do Borowa, wsi pogranicznej, w ciągłej obawie, że na każdym kroku groziło nam niebezpieczeństwo albo popaść w łapy kręcącym się po gościach patrolom kozackim, albo, co smutniejsze, zostać ujętym przez chłopstwo, które rozłakomione wyznaczoną przez Moskwę nagrodą po 3 ruble za każdego odstawionego jej powstańca, urządzało formalne oblawy za popłaconym żywym towarem.

Jeżeli przebyliśmy szczęśliwie dotychczasową drogę, to tutaj należało zdwoić ostrożność, bo niebezpieczeństwo stało się na każdym kroku groźniejsze. Wzdłuż granicy uwijały się stałe konne patrole kozaków i obiedzcyków i co pół godziny krzyżowały się z sobą.

Gdyśmy stanęli przed okazałym dworem właściciela Borowa, było nas co prędzej bochenkiem chleba i flaszką wódki, z oznajmieniem, że w samym dworze stoi kwatery sotnia kozaków z nassauą, a równocześnie wskazano, byśmy, korzystając ze zmierzchu, ukryli się w pobliskim lesie i przeczekałszy tam do świtu, przeszli słupy graniczne z pierwszym brzaskiem, gdyż o tej porze zmieniają się patrole i granica na jaką godzinę pozostaje całkiem wolną. Wpakowawszy się w gąszcz lasu sosnowego, zasnęliśmy szczęśliwie i nie mam pojęcia, dokądby trwał ten sen, gdy nagle przebudził nas groźny okrzyk: „Halt! wer da?“

Przerażeni zerwaliśmy się, w przekonaniu, że popadliśmy w ręce kozaków, smutno skończymy naszą karierę, ale po przetarciu zaspanych oczu i ochłonięciu z pierwszego strachu, ujrzeliśmy przed sobą dwóch finanszów w mundurach z zielonymi wyłogami, którzy wzięwszy *Stellung zur Attaque* grozili nam najeżonymi bagnetami. Strach ma wielkie oczy, to też w pierwszej chwili nawet niemieckie nawołanie pana finanszwa zdało się nam czemś groźnym.

Skoro już zabraliśmy znajomość z austriacką strażą skarbową, nasuwał się oczywisty wniosek, że musimy więc chyba, przeszedłszy w nocnym marszu bezwiednie granicę, znajdować się na terytorium galicyjskiem.

Panowie finanszawy popędzili nas do swego komisarza, urzędującego w Radomyślu, skąd duch opiekuńczy odwiózł nas w postaci żandarma do Rozwadowa.

Owczesny naczelnik powiatu rozwadowskiego, Zgórski, który urzędując w tak krytycznych czasach, pozostawił po sobie pamięć zacnego i szlachetnego człowieka, umieścił nas w jednym z biur urzędu powiatowego, a pani Zgórka nakarmiła i napoiła wyędźniałych do syta.

Nazajutrz powieziono nas rzemiennym dyszlem do Niska, gdzie zastaliśmy zupełnie odmienne stosunki. Tamtejszy naczelnik powiatu, niejaki Blatt, zjadłszy niemiec o obrzmiałej twarzy i czerwonym nosie, przywitał nas elegancką przemową:

„Wieder diese Insurgenten Bagage?“ i kazał zamknąć w dusznej kaźni, razem z przyaresztowanymi tam szumowinami społeczeństwa. Już wieczór zapadał, a nikt nawet nie pomyślał o tem, że wygłodzeni od wczesnego ranka, potrzebujemy jakiego pożywienia.

Dopiero na gwałty i krzyki, jakie poczęliśmy wyprawiać w kaźni, przyniesiono każdemu po kawale spleśniałego chleba i postawiono nam dzban mętnej wody.

Nie tknęliśmy podanej strawy i głodni legliśmy na pryczy, aby nazajutrz pieszo powędrować wraz z kilkunastoma kolegami z innych rozbitych oddziałów, którzy nas uprzedzili w Nisku

Najbliższą stacją był odległy o trzy mile Sokółów.

Tutaj zaraz po naszym przybyciu zbiegło się mieszczaństwo, a pocziwe Sokołowiarki poznosiły całe sagany mleka, kawy, mnóstwo bułek, masła itp. zaopatrzone nas nawet w cygara i tytoń.

Sokołów był ostatnim etapem, skąd wyłowionych powstańców odstawiano do obwodowego sądu w Rzeszowie.

Przetrzymano nas dwie doby w osobnych kaźniach, a z każdą godziną rosła liczba uwięzionych, tak, że z chwilą wyjazdu liczyła karawana 116 insurgentów, których osadzono po 4 na furze i dodawszy eskortę z 12 huzarów z wachmistrzem, wysłano do Rzeszowa.

Około południa przybyliśmy do Staromieścia, wsi, położonej na samej granicy miasta Rzeszowa, dokąd doszła już wiadomość o nadchodzącym transportie.

Całe miasto wyległo na gościniec, bo nie było w Rzeszowie rodziny, któraby nie miała syna lub brata w szeregach powstańczych, a szczególnie w oddziale Czachowskiego.

Tabor wozów minął kościółek staromiejski i wjechał na wąską ulicę, pomiędzy gęsto rozsiadłe chaty i sady.

Wtenczas wachmistrz, dowodzący eskortą, zaczął ku nam wymachiwać ręką, dając jakieś znaki, których w pierwszej chwili nikt nie zrozumiał, dopiero gdy wskazał na opłotki, podnosząc się równocześnie w siodle jak do skoku, zaświtało nam w głowie, że pocziwe madziarzysto każe chiopcom „wyrzucić“ między sady.

W lot poszło hasło od wozu do wozu i zanim huzarzy mieli czas rozjechać się w sytuacji, wypróżniły się wozy doszczętnie. Zwijali się wojacy tam i nazad po drodze, ale przez wysokie opłotki nie mogli przesadzić z końmi, więc tylko z zropaną miną spoglądali na opustoszałe wozy, które wlokły się żółwim krokiem do miasta.

Cała publiczność śmiała się do rozpuku, kiedy pomiędzy długie jej szpalery, postępowali huzary obok pustych wozów.

Tak wjechał tabor do miasta i przed budynek starostwa na pańskiej ulicy, gdzie wówczas królował *der Kreisvorsteher*, niejaki Abrahamsberg, zacny bardzo urzędnik i dobry człowiek.

Nasz wachmistrz uszykował podwozy przed starostwem w 4 rzędy, obliczył wozy i pozostawiwszy huzarów na dole, udał się z raportem do pana starosty.

Według późniejszego opowiadania Abrahamsberga, raport ten brzmiał:

— „Melde Herr Kreishauptmann 116 Insurgenten gebracht aus Sokolow.“

— „Wo sind diese?“ zapytał starosta?

— „Alle durchgegangen!... Die Wagen stehen unten.“

Edward Webersfeld.



W jaki sposób stałem się sławnym?

Marzyłem ustawicznie o niej, — o tej ponętnej zwodnicy. Kiedym był dzieckiem, śniła mi się, jak baśń tęczowa. Wlokła za sobą zawsze królewskie szaty i rozpaliała młodą fantazję, oczy łzami napęniała, wicherzyła włosy i duszę rwała za sobą. Z latami opuszczała mgliste, powiewne kształty, rzucała światy nieuchwytnego bytu i przemieniała się w jakieś jasne, dziwnie szlachetne dążeń. Świadomości, rzeczywistość zaczęła ją unosić na swoich skrzydłach. Nieraz biłem się, trzepotałem, jak ptaszek w klatce, pytając, co to sława. Jak ona wygląda, dokąd prowadzi, co daje? Aż oto stanąłem na wiosnę na szerokim, budzącem się do słońca polu. Powietrze majowe przelatywało po nim, niosąc zapachy kielkującej trawy i świergoty ptactwa. Łyse wierzby kiwały pękami pałkami, strumyk szumił i mrucał, — atmosfera przepełniła się złotym blaskiem, spływającym z nieba, — a piosenka pastusza szła po zataśknionem polu, taka rzewna i śpiewna, — a taka nasza...

— Aha! — pomyślałem, — to sława... Pracować dla tego kraju, złożonego z tysiąca takich pól, strumyków i świątógów...

Nagle zaszedł w mojej duszy gwałtowny, żywiołowy przewrót. Niby byłem ten sam Michał Łączynski, urodzony i wykarmiony w Dębniakach pod Krakowem, a przecież nie ten sam. Spowaźniałem, sposepniałem, zacząłem chorować na wielkość, goniąc za tą przekłętą marą, która mnie od kolebki prawie ścigała. Boże! zerwij mi z oczu to bielmo — to widmo straszne, cheiwe, kładące na nie spieczoną dłoń, odbierające mi sen, szarpające nerwy... Nic nie pomogło... Ale jak miałem się stać sławnym? Łatwo było takiemu Schenkowi przejść do potomności w romansach kryminalnych, łatwiej jeszcze Neronowi Rzym podpalić lub Herostratowi krwawo się w pamięci ludzkiej zapisać, — ale co ja miałem począć? Przecież trudno mi było mordować młode kucharki, puścić z dymem pożarów taką niedźną dzielnicę, jak Łyczaków lub zarzącać dziećmi, niby kury w kojcu. Fe!... to stanowczo wszystko niewykonalne, a zresztą ja pragnąłem prawdziwej, światłej, oświecającej szlachetnym czynem sławy,

nie zbrodni. Dążyłem do lauru, nie marnego liścia bobkowego... Zresztą, gdybym był nawet spopielił Łyczaków lub Żółkiewskie?... Co mi za zasługa? Przekupki uciekłyby ze swoich straganów i przeniosły się gdzieindziej... Przekupkom wszystko jedno, gdzie będą krzyżeć, byle krzyżeć. Zresztą taki pan Neron lub Herostrat popełnili okrucieństwa, — a świat ich podziwiał i padał przed nimi plackiem do nóg. A niechbym ja spóbował, choć w mniejszym zakresie czegoś podobnego. Zawisłbym z pewnością wysoko na bardzo majestatycznym słupie i jeszcze w dodatku odlanoby mię z wosku do panoptikum. Bo dziś świat tak upadł i zmizerniał, że już nie tylko cnoty ocenić nie potrafi, ale nawet nie umie porządnie podziwiać wielkiej zbrodni.

Męczarniom moim i troskom nie było końca.

— Aha! już cię mam, — krzyknąłem rozmarzony.

Sam siebie pytałem, co mam i gdzie taki pół zrobielem.

— Sławę mam... tak, mam ją nareszcie, skrepuję ją całą siłą, rzucę pod własne nogi; chwycę ją za włosy, przyciągnę do siebie, nią żyć będą i z nią umierać.

Droga moja była prostą, niechybnie wiedzącą do celu. Dziwiłem się niezmiernie, że niepotrzebnie byłam niezadnym, prawie głupim. Bogini sławy stała tuż przedemną, tuliła się do mnie, należało ją tylko przyciągnąć i jak pokorną służkę poprowadzić za sobą.

W tydzień po postanowieniu wypowiedziałem siarczystą, istic cyceronowską mowę na zgromadzeniu wyborczym młodzieży akademickiej. Zostałem prezesem „Czytelni“ i stanąłem na czele obywateli uniwersyteckich. Zainaugurowałem urządowanie rozdaniem do dzienników komunikatu z listą nowego wydziału i podpisałem się pod nim bardzo wyraźnie: Michał Bączynski, prezes.

Byłem drukowany, naprawdę drukowany.

Kupiłem kilka egzemplarzy dzienników i wyprawilem wycinki z nich do rodzeństwa w Paryżu i w Wiedniu, a nawet do... Panamy. Chciałem też dać znać o tym ważnym wypadku memu antagoniście Buraczkowskiemu, który odrabiał dyurnum w sądzie powiatowym w Cuchnaje, — ale zaniechałem tej myśli, — bo biedaczysko cierpiał na serce. W czasie urzędowania nie wydałem wprawdzie manifestu do narodu, natomiast kupilem świeże kule bilardowe, sprawilem parę rapierów dla kółka szermierzy i nauczyłem kolegów nowych figur w prowadzeniu gęsiego. Oprócz tego żegnałem nad otwartym grobem sześciu niezapomnianych nieboszczyków, wychyliłem pięć toastów i dwa razy jadłem kotlety u rektora. Założyłem także na spółkę z „synem profesorskim“ Łopatą i Kazimierzem Manenbergiem „Przegląd Akademicki“, w którym ogłosiłem nowelę p. t. „Żmija, czyli wojna dwóch chrząszczów“.

Przypadek, ah! marny przypadek stracił mię z piedestału.

Huknięto nagle, że jestem lizunem, pantoflem konserwatystów i karyerowiczem. Mnie się zdawało, że jeżeli chodzi o sam fakt lizania, to przeciwnikom powinno być obojętne w jakim obozie popisuję się moją sztuką. Ale mniejsza o to...

Czułem doskonale, że przed nikim karku nie zginałem, więc na oszczerców patrzyłem tak pobłażliwie, jak ongi św. Franciszek z Asyżu na szare wróbelki. Zepchnięto mię jednak nikczemnie między pospolity tłum.

Brr!... strasznie wspomnieć tę chwilę...

Straciłem mnóstwo czasu, przyswoilem sobie błagę i wszystko to nic nie pomogło. Niedługo też zapomniano o mnie, słowem zginałem, jak kamień na dnie, przypuśćmy na dnie zakopanej Pełtwi...

— Co to za bolesne uczucie — rozumowałem — zaczynać na nowo! Ta pocziwa Penelopa zasługiwała na kanonizację, choć była poganką i wierną mężowi...

Mimo to zacząłem.

Pisałem na gwałt broszury i rozprawy historyczne. Wydałem także „Wyprawę Anny Jagiellonki“, którą w księgarniach sprzedawano po 15 centów. Siedziałem całymi dniami w archiwach, nie spałem po nocach, zbierałem stosy materyałów, byle iść dalej, budować, mieć rozgłosne nazwisko.

Gwałtu, co się ze mną i we mnie działo, tego nikt nie potrafi pojąć. Różne postacie zaludniały moją fantazję, powieki nie domykały się, siły fizyczne tak topniały, jak śnieg pod słońcem. Wszystkie fibry drgały we mnie, cała istotność przeniosła się gdzieś za ziemię w sfery marzeń, w sferę życia astrakcyjnego. Chwilami miałem taki rozstrój, takie szalone i rwące zdenerwowanie, że chciałem uciec od tych mar, które mię ciągnęły do siebie i zabijały razem. Nie wiem, jak to długo trwało, ale to pamiętam na pewne, że prace moje postawiono albo pod pręgierzem, albo o nich nie wspomniano.

Tam do licha, zgryztałym, to nie droga do Rzymu... Truję się, walczę, życie daję na pastwę tej marze — niestety daremnie. W dodatku nie ma gdzie drukować — a różni arystarchowie patrzą na mnie okiem bazylijszka.

Kres moim wątpliwościom położył nareszcie pocziwy Ignasz Rejzner.

— Wiesz co? — rzeknie do mnie — ciśnij tu całą archaiczną tandetę... U nas nie ma co robić na tem polu. To dobra rzecz dla kilku rzemieślników i kapitalistów. Porządnego człowieka zawsze zduszą akademickie togi... Kto u nas zresztą czyta bajdę z życia historycznego? kilku pedantów i jedna stara de

wotka. Daj pokój, zmarniejesz i pies o tobie nie wspomni.

— Rany Boskie! co się we mnie działo — to przechodzi wszelkie wyobrażenie. Znowu zatem straciłem lata w pogoni za tą marą.

— Co ja pocznę, czego się uczepię, co zrobię, ockną podążę? Lamentowałem, załamywałem ręce, myślałem o samobójstwie. Postanowiłem jednak jeszcze spróbować. Napisałem kilka powieści, które krytyka przyjęła dosyć życzliwie.

— Może tedy... szepotał mi jakiś dobry geniusz.

— Nie tedy, mówił inny, to długa i żmudna historia.

Pewnego dnia zgłosiłem się do redakcji „Woli“. Przyjęto mnie natychmiast i oddano referat teatralny.

— Mam cię nareszcie! wołałem uradowany.

Marzyłem, że poprawię teatr, że sprawozdania wyrobią mi markę, znaczenie w świecie literackim, że bezstronność i rzetelne, dobre chęci wywalczą mi wpływ na artystyczny rozwój sceny — ale zapomniałem o prawdzie, że z Kapitolu do Tarpej tylko jeden krok. Dla mnie Tarpeją była moja śmiałość, moja szczerość. Nazywano mnie „biczem“, jakiś nowelista obśmadował mnie w powieści jako przyłepkę do wszystkich spodniczek, a w końcu przedsięwzięci, czy dyrektorzy teatru, ubrali się we fraki, odwiedzili wydawcę dziennika i uprosili moje wyrzucenie. Byłbym tych panów nabił, ale pomyślałem sobie, że duma niepozwała mi mierzyć się z pierwszym lepszym handlarzem.

Odtąd byłem w redakcji popychadłem. Robiłem politykę — a szczególnie bacznie śledziłem wypadki w Chinach lub Honolulu. Ile razy pragnąłem wystąpić z szczerą myślą, z artykułem społecznym „nie było miejsca“, więc ostatecznie powiedziałem sobie, że trzeba to zostawić innym, którzy są chudszy odemnie i mniej wskutek tego zajmują przestrzeni. Prysnęły wszystkie moje otuchy, rozwiały się tęcze marzenia. Stałem się szarem, marnem popychadłem, „wołkiem roboczym“.

— Boże! Boże! jakież to strasznie błędne koło... Żyć ostatecznie muszę, a żyć znaczy zdobywać kęs chleba. A ja przecież pragnąłem czegoś więcej, szukałem tej błyskotliwej królowej i w chwilach, gdy trzymałem skraj jej szaty — usunęła się, zniknęła zostawiając mnie zatekionego.

Dobrze mówić filistrom: „co użyję, to moje“. Ale ona była całym moim używaniem, oddechem i pożądaniem. Przypuszczam, że komuś sprawia przyjemność cygareto, komu innemu wino lub kobiety, — dla mnie Arkadya była tylko sława.

Niekiedy myślałem zrozpaczony:

— Dać, czy nie dać za wygraną?

Jakieś łaskawe bóstwo opiekuńcze nie opuściło mnie w tych desperackich chwilach.

Dyrekcja teatralna zaangażowała nową artystkę. Winnicka miała dosyć głośne nazwisko sceniczne, przeszliczne, ciemnoniwe oczy, przesłonięte kruczemi brwiami, połączone dyskretnym czarnym łukiem nad wyrazistym, sepiem nosem i smagło-oliwkową cerą, zalewającą melancholijną, orientálną twarz. Nad tem wszystkim pięły się włosy w dzikim nieładzie. Winnicka, oprócz demonicznej urody posiadała sławę pogromczyni serc i wlokła za sobą wspomnienie jednego samobójcy.

Dlaczego tylko jednego? Gniew takiej ładnej kobiety więcej wart niż krwawa batalia, — a przecież nawet pod Domokos, gdzie Grecy przed położeniem ręki na karabin uciekali, pozostało coś dwudziestu nieboszczyków... Zjawienie się Winnickiej było wypadkiem dnia w mieście, w którym jest dużo projektów na pomniki, ogromnie trudny kredyt i nudy, zmuszające nawet psy do ziewania... Złota młodzież zapamiętała bardzo szczerze „końską łóż“, — a jej kapelmistrz hr. Polamański (z tych porządných Polamańskich) separował się na poczekaniu z swoją damą kierową.

Na razie nie przypominam sobie doprawdy, w jaki sposób poznałem się z Winnicką, — ale faktem jest, że ją poznałem. W redakcji śledziłem z mniejszą uwagą wypadki w Chinach, na Honolulu i innych miejscowościach na Marsie lub Wenerze, — natomiast często przeciągałem się na krześle lub ucinalem drzemkę. Raz położył w czasie podobnie haszyszowego stanu kolega Rzempolini (tak go nazywałem pocziwca) rękę na moim ramieniu:

— Telegramy, telegramy!

Rozszerzyłem nieprzytomnie źrenice.

— Moja pani, o pierwszej w nocy, to chodzą spać ludzie w Pacanowie...

Homeryczny śmiech zapełnił salę, ale ja byłem nleczułym, jak rozsądny dłużnik wobec hałasów zle wychowanego wierzyciela.

— Co mnie tam może obchodzić cudze bredzenie... Do teatru chodzę, jako sportowiec i podziwiałem grę Winnickiej. Była to istotnie artystka nadzwyczajna, subtelna, tylko niestety miała prowinacyjną wadę... Lubiała mianowicie „adresować“ do końskiej łóż. Ile razy to uczyniła, odzywał się dyskantowy, suchy głos Polamańskiego:

— O-la-la, o-la-la-l...

— Czego chce ten przemierzły „Olala“, mrucałem... On skrzeczy, jak żaba na deszcz...

Wtem przypomniały mi się słizne oczy Winnickiej. Za oczami poszedł niezmiernie smutny profil twarzy, usta, ręce, cała postać...

Pewnego razu (mam nawet w zapiskach dokładną datę) skłóciłem się haniebnie z Winnicką. I czyby kto wierzył, że kością niezgody była licha, prozaična gruszka. Psa się to tak nihy z niedbalstwa,

że gruszka jest lichą, choć powinno się zaniechać tego epitetu, odkąd na górze Ida jabłko odegrało światową rolę i pocziwego Menelausa zaprowadziło pod Troję. Zresztą jabłko zrobiło także awanturę w raju i to tak potężną, że ogryzkiem stanęło Adamowi w gardle. Dlaczegoż jabłko miało być lepszym od gruszki?... Faktem jest jednak, żeśmy kupowali kilo gruszek u Hai Toprower w dużej, ogromnie zabrudzonej sieni. Haja ważyła i oświadczyła, że ponad kilo są jeszcze dwa deka. Te dwa deka miały kosztować (aż wstyd powiedzieć), zaledwie dwa centy więcej. Winnicka uparła się jednak zapłacić tylko za kilo, a gdy ja wszedłem w układy, rzuciła torebkę i wyszła z kramu. Na ulicy za to przeszyła mnie wzrokiem srogiej Meduzy i uczyniła taki ruch, jakby zamierzała zeprzeć swój łokieć na mojej twarzy. Szliśmy potem milczący, skwaszeni i rozstaliśmy się, jak dobrze wychowany kotek, z taktownym pudełkiem.

Nazajutrz po tej przykłej burzy poszedłem na koncert. Winnicka deklamowała ładne, piankowe, estradowe wierszyki. Siedziałem w pierwszym rzędzie i obserwowałem wszystkie jej ruchy. Biała suknia zrefleksowała blade jej uroczą, demoniczną, nad wyraz piękną głowę. Po pierwszym numerze rozległo się frenetyczne, przeciągłe brawo. Ja sam białem rękami, raczej trzepotałem niemi, jak wiatrakami. Ukłoniła się lekko i znowu spłynął z jej ust figlarny wierszyk. Na pewno pamiętam, że w wierszyku tym dwoje młodych ludzi przyskakiwało do siebie, jak kury czubate, aż nareszcie wszystko skończyło się zwykłą historią o Numie i Pompiliuszu. Patrzałem na Winnicką uważnie, natrętnie. Wtem ona zwróciła się w moją stronę, pokazywała niemal na mnie palcem, tupała swemi kochanemi nóżkami na mnie, przechylała ku mnie ciało, śmiała się, znęcała. Publiczność zgromadzona zaczęła szeptać sobie na ucho, ktoś niedelikatny wyciągnął nawet palec.

Straciłem przytomność.

Duże krople potu spływały po moim czole i brudami dostawały się na twarz. Nogi i ręce drżały, powieki się same domykały, chaos i ciemnia ujęły mnie w swoje uściski. Nie wiem, jak to długo trwało, ale zdawało mi się, że to cała wieczność. Gdy się na chwilę ocknął i spojrzał nieśmiało na bok, ujrzałem uśmiechy otoczenia. Na końcu sali wstawano nawet i oglądano mnie, nihy jakiś rzadki, z British Muzeum, przywieziony okaz.

Skończyło się nareszcie. Zerwałem się na równe nogi i nie czekając dalszego ciągu produkcji, pobiegłem ku wyjściu.

Wzburzony zapukałem na drugi dzień do pokoju Winnickiej. Powitała mnie przyjaźnie, jakby nie nie zaszło:

— No, jesteś zielona malpo zadowolonym, żem cię zrobiła sławnym? Całe miasto mówi... To nagroda za gruszki...

Ta „zielona malpa“ i „ty“ były mielada łaska. Wobec tego straciłem język w ustach i odparłem pokornie:

— Dziękuję...

Pracowałem tedy całe lata daremnie, stargałem najlepsze siły, gonilem za ideałami — a nie mi nie pomogło. Dopiero przypadek pozwolił mi ująć silnie tę moją wymarzoną królową: sławę. Odtychczas zaniechałem szerokich, wielkich pomysłów, przestałem się mozolić nad twórczymi dziełami i zadowolilem się uzyskanym rozgłosem. Byłem też bardzo, byłem zawsze uśmiechniętym i szczęśliwym...

— Miałem ją, miałem sławę. E. E.



Z galerii indyjskich typów kobiecych.

Komu nie obito się choćby o uszy imię Siakuntali? Idealna ta postać kobieca, bohaterka najgłośniejszego dramatu indyjskiego poety Kalidasy, należy do najpiękniejszych typów, jakie unosił ludzki zdołał sobie wymarzyć. Świetną charakterystykę jej można czytać obecnie w pięknym studium W. Gomulickiego o „Pięknej“ (w *Wędrowcu*).

Mniej już może znanymi są imiona takiej żony bohatera Ramy, Sity (t. zn. Bródy), z olbrzymiego eposu sanskryckiego p. n. *Ramajana*, lub takiej Sawitri i Damajanti z gigantycznej drugiej epopei indyjskiej, głośniejszej *Mahabharaty*. A już chyba tylko fachowcy mile sobie wspominają drobny epizod o królowej Sukanii, wpleciony również w epos, właśnie wspomniany, a stanowiący wariant zajmujący do wymienionych wyżej ideałów żon indyjskiego świata starożytnego. Gdy ustępy o Sawitri i Damajanti znalazły już dawno swych tłumaczy, pozwolę sobie podać czytelnikom polskim w przekładzie odpowiedni ustęp z ks. III. *Mahabharaty*, wierający opowieść o Sukanii.

Rozszerzać się nad zaletami i cnotami tej kobiecej postaci nie widzę potrzeby; zbyt są one widoczne w opowieści samej, którą roztacza tzw. *rszi* Lomasia przed królem Judhiszthirą, potomkiem Bharaty i Pandusa, nad brzegiem pewnego stawu.

Parę jeszcze uwag o przekładzie i objaśnieniu rzeczowych.

Przekładać z sanskrytu dosłownie, trud to nadaremny; to też nie dbałem o dosłowność, tylko o wierność myślową i zachowanie prostoty stylu. Mi-moto sądząc, że nie odbiegł daleko od oryginału.

Co do rzeczy samej, to przedewszystkiem proszę się nie dziwić, gdy się czyta w opowieści ni-niejszej o askiecie żonatym i jego synu; te i tym podobne szczegóły, dziwne dla Europejczyka, są czemś zupełnie naturalnem i zgodnem z etyką indyjską, czyli jak raczej należałoby mówić i pisać — Hindusów starożytnych. Para bogów, zwanych Aświnami (tzn. koniuszymi), odpowiada w mitologii hinduskiej — pozostawmy już przy poprawnej formie — greckim Dioskurom (Kastorowi i Poluksowi). Są to również bóstwa światła i lekarze bogów; w tej właśnie funkcji występują w epizodzie naszym.

A teraz głos dają Lomasi.

* * *

Lomasia prawil:

Potomku Bharaty! Wielki pustelnik (*rszi*) Bhrgu miał syna imieniem Czjawanę; tento mąż przewielebny rozpoczął życie ascety w pobliżu tego stawu. Jak pał nieruchomo siłacz ten, — o potomku Pandusa, władcę ludu, — stał długi czas w pozycji *wira* na jednym miejscu. Pustelnik ten wskutek tego, o królu, stawał się mrowiskiem, bo go owinęły powoje, a w ciągu długiego czasu zupełnie pokryły mrówki. Jakoż mędrzec ten zmienił się ostatecznie pod każdym względem w kupę ziemi; takążto straszna męczarnia cierpiał, pokryty mrowiskiem.

Po długim tedy przeciągu czasu król, imieniem Siarjati, przybył nad ten uroczy, niezrównany staw, by się tam zabawić. Posiadał, o Bharato, 4000 żon i jedną tylko córkę krasnobrewką, imieniem Sukanję (tzn. piękne dziewczę). Ta, ozdobiona cudnymi klejnoty, w towarzystwie przyjaciółek tam i sam biegając, zbliżyła się do mrowiska potomka Bhrgusa (tzn. Czjawany). Spozreglęszy tam bardzo piękny zakątek, poczęła pisać z przyjaciółkami, szukając kwiecica po drzewach. Urodna i młoda, wesoła i swobodnie łamała gałęzie drzew leśnych, będących w pełni rozkwitu. Gdy oddaliwszy się od przyjaciółek, mknęła, nito błyskawica, sama w jednej tylko sukni, a krasna, zoczył ją mądry potomek Bhrgusa. Spozreglęszy zaś ją w miejscu samotnem przewielebny, święty pustelnik o wyschłej szyi, mimo, że posiadał wielką siłę ascety, wpadł w zachwyt. I przemówił do pięknej Sukanji. Lecz ona nie słuchała go, jeno ujrzawszy oczy potomka Bhrgusa w mrowisku, rzekła sobie: „Co też to być może?“ i z ciekawości, opanowana jakimś szalem umysłowym, wykuła mu cierniem żrenice. On rozgniewał się i wpadł w najwyższą wściekłość z powodu, że mu wykłuła oczy; to też nawiedził wojsko Siarjatisa przykrą chorobą. Wskutek tej choroby wojsko było bardzo smutne. Zauważywszy ten stan u wojska, rozpytywał się król: „Któż to, świadomie czy nieświadomie, dopuścił się dzisiaj na wielkodusznym starym ascecie, potomku Bhrgusa, takiej zbrodni, że ten wpadł w gniew niebyswały, — powiedzcie mi to zaraz, bezzwłocznie!“ Wszyscy żołnierze odrzekli mu: „Nie wiemy nawet, że go kto obraził. Raczej to jednak królewska móż zjadać wszelkimi środkami, jakimi ci się podobać raczy!“ Na to król sam starał się wybadać szereg swych przyjaciół po dobru i grom, ale i ci nie nie wiedzieli stanowczego. Widząc tedy, że wojsko, nawiedzone chorobą tą, jest niezadowolone i widząc, że ojciec się smuci, rzekła doń Sukanja, co następuje: „Przechadzając się w lesie, ujrzałam w mrowisku coś błyszczącego. Sądząc, że to chrząszczyk świecący (muszka świętojańska), zraniłam tę istotę zbliska.“ Zaledwie to usłyszał Siarjati, szybko udał się do mrowiska. Tam ujrzał potomka Bhrgusa, posiwiatego od umartwień i starości. Wyciągnawszy tedy doń ręce, błagał go król za wojskiem: „Wybacz postępek, którego się wobec ciebie dopuściła córka moja z nierozsądku.“ Na to rzekł woneczas Czjawana, potomek Bhrgusa, do króla: „Ta dumna dziewczyna zraniła mnie z lekceważenia dla mej osoby. Dlatego też przebaczę dopiero wtedy, gdy otrzymam jako żonę twą córkę, wyposażoną w niezwykłą piękność, ponieważ dała się anielskiej namiętności i szalowi, — to ci powiadam, królu, stanowczo.“

Lomasia prawil dalej:

Siarjati, usłyszawszy oświadczenie pustelnika, oddał bez namysłu córkę swą wielkodusznemu Czjawanie. A święty ów, otrzymawszy dziewczę to za żonę, przebaczył. Uzyskawszy przebaczenie, król wrócił z wojskiem do miasta. Sukanja zaś cnotliwa, otrzymawszy męża w osobie ascety, bezustannie obsługiwała go z miłością, cierpliwie i posłusznie; chodząc koło ognia i gości bez szemrania, starała się szybko zadowolić Czjawanę, ona, piękniczka! (Tak brzmi rozdział 122. księgi pustelniczej w ustępie o Sukanji.)

Lomasia prawil dalej:

Po pewnym czasie jednak, królu, ujrzał obaj bogowie, Aświnowie, Sukanję nagą, gdy właśnie ukończyła kąpiel obrzędową (tzw. *abhiszeka*). Spozreglęszy zaś tę piękniczkę, podobną do córki króla bogów, przystępnicy — Aświnowie — rzekli do niej: „Kto ty, młoda, i co robisz w tym lesie? Zapragnęliśmy cię; odpowiedz nam na pytanie, o piękność, którą odpuściła Sukanja zawstydzona niezłomnością bogom.“ Wiedząc tedy, że jestem córką Siarjatisa, a żoną Czjawany, Aświnowie zaś, wybuchawszy śmiechem, rzekli znów do niej: „Jakże to mogło stać się, że ciebie, o śliczności, ojciec wydał za starca? Wszak ty, sarenko, błyszczysz w tym lesie, jak Saudamini (bogini błyskawicy); nawet między bogami niami nie widzieliśmy tobie podobnej, piękna niewia-

sto. Bez ozdób, bez sukni pięknych okraszasz, cudna niewiasto, las ten niewymownie, choć nie masz na sobie klejnotów. Czemuż więc ozdobiłaś, w pięknej sukni, również błyszczysz, niewiasto cudnych kształtów, nie błyszczą jednak żadna inna, którą brud kała. Dlaczegoż więc, będąc tak doskonałą, obsługujesz, cudna niewiasto, męża, złamanego wiekiem, wyłączonego od uciech i używania? Porzuć więc, niewiasto o słodkim uśmiechu, niezdolnego ani do obrony, ani do pieszczot Czjawanę i wybierz sobie którego z nas na męża, córo bogów, — nie marnotraw młodości!

Ale Sukanja, tak zagadnięta, odpowiedziała bogom tym: „Kocham męża swego, Czjawanę, — nie podsuwajcie mi podobnych myśli!“ Obaj bogowie odezwali się znów do niej: „Jesteśmy najlepszymi lekarzami z pośród bogów. Uczynimy męża twego młodym i obdarzymy go pięknoscą, a wtedy wybierzesz sobie pomiędzy nim a pomiędzy nami jednego za męża. Pomów o tym warunku ze swym mężem, piękna niewiasto.“

Ona — królu — poszedłszy stosownie do ich polecenia do męża, powtórzyła potomkowi Bhrgusa słowa, wyrzeczone przez obu bogów. Czjawana, wysłuchawszy słów żony, rzekł do niej: „Zgoda“.

Aświnowie tedy usłyszawszy z ust królowej słowo: „Zgoda!“, rzekli do niej: „Niech mąż twój wejdzie do wody“. Czjawana na to szybko wszedł do wody, pragnąc stać się pięknym. A także Aświnowie — o królu — wtedy weszli do wody. Następnie naraz wszyscy trzej wyszli z wody, wszyscy młodzieńcami w pełni kraszy niebiańskiej, z lśniącoymi kolczykami w uszach, w jednakowych szatach, że aż serce rosło, patrząc na nich. Rzekli wszyscy razem: „Niewiasto cudna o niezrównanej cerze, wybierzże z pośród nas jednego, którego mężem mieć pragniesz. A wybieraj, piękności niezrównana, któregośkolwiek, jeśli cię tylko coś doń skłania.“ Królowa jednak, widząc, że wszyscy, jak tu stoją, równie są pięknymi, przyzwała serce i rozum do pomocy i wybrała własnego męża. Czjawana zaś potężny, otrzymawszy żonę, młodość i upragnioną piękność, rzekł radośnie do obu Zbawców: „Ponieważ obdarzyliście mnie pięknoscą i uczynili młodym, choć byłem stary, przeto postaram się o to, że będziecie pić somę (napój, ofiarowany w Indjach bogom). Wobec króla bogów to wam oświadczam stanowczo.“ Wysłuchawszy go, udali się obaj bogowie do nieba, a Czjawana i Sukanja żyli w radości, jak bogowie.

(Tak brzmi rozdz. 123. księgi pustelniczey w ustępie o Sukanji.)

Dr. Franciszek Krczek.



Listy londyńskie.

Londyn, 28. grudnia.

(?) Święta Bożego Narodzenia przeszły podług tradycyjnych zwyczajów, które mają dla polskiego przybysza niejedną stronę zadziwiającą. A naprzód nie mają Anglicy żadnej wili takiej, jaką my obchodzimy, żadnej uczty o wschodzie gwiazd, żadnej Pasterki w kościołach: aż do końca jest to dzień zwyczajny, roboczy. W niewielu tylko rodzinach bywa drzewko gwiazdkowe dla dzieci. Podarki rozdawane są dopiero rano w dzień Bożego Narodzenia. Dzień ten nie ma bynajmniej tego kościelnego charakteru, co każda niedziela angielska. Wiele sklepów jest otwartych, a szynki są pełne od samego rana. Świętowanie odznacza się ciężkim obiadem, który i u najuboższych rodzin jest w dniu tym dostatnim. Rodziny robotnicze składają co tydzień przez kilka miesięcy z góry po kilka pensów w sklepie, gdzie kupują obowiązkową gęś z jabłkami, tłusty rostbeaf, albo indyka z kasztanami. Z dodatkiem plum-puddingu, ciastek zwanych mince-pie, jest to obowiązkowy obiad angielski w dniu Bożego Narodzenia. Znaleźć go można wszędzie, poczynawszy od królowej a skończywszy na małym mieszczaństwie. Wszystkie domy ubrane są zielenią, kwiatami i czerwonymi jagodami haliny. Wesoło jest wszędzie, dzięki liczbie wypróżnionych butelek.

Pisze się wiele o koledach, które śpiewają chłopcy z kościelnego chóru, ale zwyczaj ten przechowywa się więcej na prowincyi, aniżeli w Londynie. W ogóle co uderza, to brak podniosłego, uroczystego skupienia ducha u tego społeczeństwa, które uchodzi za wysoce religijne, a przewaga materyalnych uciech. Francuskie słowo *ripailles* najlepiej charakteryzuje dnia tego obrządek. Pojąć trudno, jakie żołądki mają owi czerstwi Anglicy i owe hoże Angielki, ażeby podołali takiemu jadłowi i takiemu napitkowi. Po obiedzie, który trwa długo, u niższych klas społeczeństwa rozpoczynają się śpiewy chórem różnych popularnych piosenek o paryotycznym albo komicznym nastroju; w wyższych warstwach zazwyczaj odbywają się tańce.

„Całusy pod gałęzią“ *mistletoe* i zapalenie ponczu, z którego płomieni wylawiać trzeba palcami sztuki srebrnej monety i rodzyńki, należy do obrzędów coraz rzadszych. Wszyscy posiadacze ziemskich majątków obowiązkowo spędzają święta Bożego Narodzenia w swych wiejskich rezydencyach, i wydają bale dla służby, farmerów i oficyalistów; jest to także epoka, w której się odbywają bale po głośnych

miastach hrabstwa, zgromadzając wyborowe warstwy towarzystwa. W Londynie zostaje ten tylko kto musi. W tym roku panowała taka nieprzejrzana mgła wieczorem, że osoby wracające do domu z obiadów i balów spędziły większą część nocy w powozach, bo woźnice albo się zabiłali, albo musieli prowadzić konie za uzdę, szukając drogi. Drugi dzień świąteczny, przypadły na niedzielę, obchodzono był z religijnymi ceremoniami zwykłymi, a na dzień poniedziałkowy przeniesione zostało popularne święto *boxing day*. Niechaj czytelnicy nie jednocy tej nazwy z bokowaniem, które świeżo tyle narobiło hałasu z okazji zabójstwa angielskiego pięściobójcy przez amerykańskiego; nazwa ta pochodzi od wyrazu *box*, a znaczy pudełko, gdyż w nich rozdawane były koledy i podarki.

Sklepy i biura są zamknięte i masa oddaje się głośniejszej uciech. Dawniej dzień taki był obrazem piekła, z powodu pijatyki i popełnianych pod jej wpływem wyryków i gwałtów. W ostatnich latach dzikość ludu zmniejszyła się w dotykanych rozmiarach i chociaż Londyn nie błyszczą ani moralnością, ani wyrafinowanymi zwyczajami, to nie jest żadna Sodoma i Gomora.

Po dwudniowej przerwie otwierają się w dniu tym wszystkie teatry. Choćby ich było dwa razy tyle, wszystkie są przepełnione widzami, bo obowiązkowo udaje się w dniu tym Anglik do teatru i *music-hallów*. Są widowiska dla każdego rodzaju artystycznego smaku. Przemagają naturalnie pantominy, które zazwyczaj od wczorajszego wieczoru nie zjeżdżają ze scen, jak po upływie trzech miesięcy, czasem dłużej. Czytam, że 100 pantomin bez mała grywanych będzie w tym roku w trzech zjednoczonych królestwach. Sto na pozór, w istocie jedna i ta sama.

Pantomina, to narodowa sztuka angielska, to *par excellence* plód jej teatralnego artysty. Jest to sztuka czarodziejska, osnuta na tle znanej przypowieści jak „Lampy Alladyna“, „Kopciuszką“, „Dzieci w lesie“, „Piękności i Zwierza“, „Czterdziestu złodziei“, etc. W luźne ramy takiej osnowy, autor, a raczej autorowie, bo jest ich zawsze tuzin jaki, wkładają treść najrozmaitszą. Są tam śpiewki na popularne motywy, komiczne sceny i dialogi, balety, procesjonalne pochody, czarodziejskie zmiany dekoracji o zadziwiającym mechanizmie, wspaniałe kostiumy, jednym słowem, bigos hulajski. Nie ma takie widówki ani jednolitej nici przewodniej, ani często nawet sensu, ale zawsze zajmuje oko, zawsze za dziwia pstrą grą kolorów, niespodzianem następstwem scen i obrazów. Jest zawsze scena nieunikniona w każdej pantominie, znana pod nazwą arlekinady. Przed Arlekinem defilują wszystkie znane typy uliczne, żołnierze, policyjanci, żebracy, śpiewacy, katarzynkarze, służące, zamiatacze ulic etc. Pojawienie się każdego z tych typów, śpiewającego piosenkę, wygłaszającego blażeńskie koncepty, wystarcza do wywołania grzmotu oklasków. Mało wybredna jest ta masa, i w takiej *olla podrida* obok dziatwy, dla której nibyto pantomina jest przeznaczona, każdy z widzów potrafi znaleźć szczegół, co mu przypada do smaku.

Na dwóch głównych i jedenastu przedmieściach teatrach dano tedy wczoraj pantominę. Największe podobno powodzenie miał „Kopciuszek“, z niesłychanym przepychem wystawiony na scenie teatru Garrick. Nie widziałem jeszcze żadnej w tym roku, coby mi jednak nie przeszkadzało dać ich opis, bo z góry wiedzieć można, co się tam znajdzie!

Obok pantomin największym faworem cieszą się operetki. W tym roku Geisza, japońska sztuka, którą grają bez przerwy od dwóch lat co wieczór i *la Bapce*, prawie tak samo popularna, miały po dwa razy, rano i wieczór, przepełnione sale. Dość także należy *Grande duchesse de Gerolstein* Offenbacha, którą świeżo postawił na scenie teatru Savoy dyrektor, zdający sobie sprawę, że arcydzieła lekkiej muzyki Offenbacha, muszą się bardziej podobać Anglikom, aniżeli ich własne, więcej niż mierne, operetki. I sukces jest wielki, taki sam, jaki niedawno znalazła Perichola.

Melodramat na klasycznej swej scenie Adolphi, chociaż stracił świeżo swego doskonałego aktora, zamordowanego Terrissa, w amerykańskiej sztuce *Secret Service* daje strawę, co wzbudza wyobraźnię i zadawalnia poczucie moralności masy, karząc zdrajcę a uszczęśliwiając kochanków. O innych, wybredniejszego smaku produktach sceny, można odożyć charakterystykę do chwili swobodniejszej. Trwalsza ich wartość nie potrzebuje sztucznej atmosfery świątecznej, ażeby wywołać oklaski.



Napoleon I. w Rosji 1812.

Cykl obrazów W. W. Wereszczagina.

Wielki artysta, wielki ekonomista, praktyczny i trzeźwy człowiek. Umie pracować i potrafi zwrócić na siebie uwagę całego świata, a chociaż poglądy jego na świat, ludzi i politykę zmieniają się z biegiem lat i zawsze stosują się do bieżącej chwili, niemniej jednak jest szeroki w swoich zapatrywaniach artystycznych. Potrafi wyzyskać swoją własną pracę dla siebie, a ponieważ niedługo już lat sto upłynie od sławnego wypowiedzenia Napoleona I.

o Rosji i jej przyszłości, ponieważ sojusz franko-rosyjski stał się modną suknią, którą każda z pań nosić zaczyna — Wereszczagin pomyślał o wyprawie na Rosję i myśl tę wyraził w kilkunastu obrazach. Obrazy te nie wypełniłyby kilku sal, więc zebrał wszystkie swoje prace od lat dziesięciu i urządził w Wiedniu wspaniałą wystawę, gdzie dla oryginalności albo kontroli kilku rosyjskich służących w sara-fanach i juchtowych cholewach pilnowało porządku. Ktoś napisał o nim w niemieckim piśmie, że jest historyczno-narodowym malarzem. Ten ktoś, pomylił się z umysłu, albo z braku pojęcia definicyi narodowo-historycznego malarstwa. Mimowoli nasuwa mi się postać polskiego mistrza, nie dla stawiania porównania, ale dla wykazania różnicy. Wereszczagin bowiem maluje wszystko, co tylko oczy jego dojrzeć mogą. Maluje zarówno kacapów, chłopów i bojarów ruskich, jak murzynów, kalmuków albo Napoleona I. Nie stworzył on epoki w malarstwie swego kraju i narodu, lecz tylko dowiódł swego talentu i niezmordowanej pracy. Matejko był malarzem czysto narodowym. Wereszczagin jest tylko malarzem Rosjaninem. Miernego wzrostu, barczysty, z krótką głową nisko na szyi osadzoną, z wielką pielęgnowaną brodą siwiejącą, z oczami małemi i badawco rchliwymi, obserwuje on każdy przedmiot i każdą osobę. Jest typem zdrowego Rosjanina, a lżejszego w ruchach dlatego, bo wychowanego w Paryżu. Obdarzony niezmordowaną siłą pracy i żądzą szybkiej produkcji, obrazy swoje liczy na całe setki, a prawie każdy z nich jest skończony. Nawet studia pomocnicze robią wrażenie skończonych prac artystycznych i zwracają na siebie uwagę.

W Wiedniu widziałem przed laty całą serję obrazów z „Wojny turecko-rosyjskiej“, później nie mniejszy zbiór prac ze „Wschodu“, między któremi dwa niewielkie obrazy wywołały skandaliczną, chociaż niewytłomaczoną reklamę: „Zmartwychwstanie“, i „Święta Rodzina“. Pierwszy gorszy pod względem wykonania, drugi bardzo ładny, jako obraz rodzajowy rodziny żydowskiej przy pracy. Nie w nim nie zdradzało rodziny świętej. Ale wiedeński arcybiskup dojrzał w tym obrazku temat gorszący i obraz usunięto z wystawy, robiąc Wereszczaginowi reklamę szaloną. Obrazy swoje wozi artysta zwykle jednym tchem po wielkich miastach Europy, a nawet Ameryki, opisuje takowe w książkach, wyraża osobiste zapatrywania na sztukę i poglądy swoje na politykę, sugeruje publiczność, otwiera wystawę i jest z góry przeświadczonym o dobrym jej rezultacie materyalnym i artystycznym. Kilka dzieł jego literackich świadczy o wielkim talencie i w tym kierunku. „Z placu wojny w Azji i Europie“ zawiera doskonałe uwagi i zapiski ciekawe z wojny, w której osobiście brał udział. „Autobiografie mało znaczących ludzi“, zdradzają wiele umysłu spostrzegawczego i wiele charakterystycznej satyry. Następują również ciekawe „Wspomnienia z życia“, i „Korespondent wojenny“. Ostatnia p. t. „Napoleon I. w Rosji“ zawiera wiele bardzo do celów osobistych artysty naginających się szczegółów i stanowi pewnego rodzaju komentarz do jego malarzkiego cyklu. Jest tam w niej wiele o bratnich dwóch narodach, które sobie nigdy podczas kampanii 1812 złego nie uczyniły, a za to, co się w ogóle w tym pamiętnym roku stało, odpowiada ten trzeci, co Napoleoną poprowadził na Moskwę.

Ten trzeci, biorący udział w rozlewie własnej krwi celem zdobywania tryumfów dla boga wojny, ten trzeci, to naród polski, który w broszurce Wereszczagina jest mocno poszarpany. Podejrzan nam są powody tego zapatrywania się artysty na kwestie polityczne — bo zapewne cykl swoich obrazów wywiezie do Paryża i Petersburga, gdzie panują te same teraz poglądy.

Muszę zaznaczyć, że krytyka pism wiedeńskich z wyjątkiem jednego niemal, przyjęła obrazy Wereszczagina z entuzjazmem; zaznaczam jednak przytem, że wszystkie pisma posiadają krytyków „literatów“, z wyjątkiem jednego, który jest fachowym malarzem i jako taki głównie stronę techniczną jego obrazów brał w rachubę. Literaci opisują życie artysty, jego prace literackie, jego myśli fachowe, jego obrazy.

Patrząc na kilkanaście płócien nazwanych cyklem, i niezwiązanych niczem więcej, jak nazwaniem, mimowoli szukamy łącznika i przewracamy kartki broszury o wyprawie na Moskwę. Tam zaś znajdujemy opis zimy i drogi, zwyczaj ludu rosyjskiego albo myśli Napoleona. Cykl ten pod względem kompozycji literackiej nawet, nie jest jednolitą całością. Obrazy składające się na niego nie są aktami tragedii, ale pewnymi bardzo, dobieżącymi epizodami, jakie z całości wyrwane — są dla siebie całością.

Główną atrakcją cyklu jest wielki obraz, przedstawiający odwrót Napoleona z Rosji, — kiedy rozpoczynający cykl, mały obrazek, nb. jeden z najlepiej malowanych ma nr. 1 i wyobraża Napoleona stojącego w śnieżnej zawiei, znakomicie scharakteryzowanej — i patrzącego na posuwające się ledwie w śniegu pułki. Odwrót. Mroźny zimowy dzień, po śniegu, który zawisł jeszcze kłębami na drzewach, a ziemię pokrył śmiertelnym, białym, iskrzącym się całunem. Pod nim spoczęło tysiące żołnierzy napoleońskich. Z pod niego sterczą jak znaczące drogowskazy, zmarzłe nogi ludzkie i ręce, trupy koni. Wszystko zmieszane z polamaniami ławetami armat, na wpół zasypianymi śniegiem wozami z amunicją. Znakami tymi, otoczony wódz nieudanej wyprawy, idzie wsparty na lasce patrząc ponuro wprost siebie.

Nie jest to już ów „mały kapral“ bożek wojny i postrach Europy, ale odziany w szerokie moskiewskie futro, z naciśniętą na uszy czapką, wymarzony śmiertelnik, pragnący jakiegoś takiego ogrzania.

Z pod czapki zaledwie widać mu nos i dwoje świecących oczów. Obraz taki powinien być wprost świetnym pod względem psychologii i kompozycji; — u Wereszczagina jest tylko dobrym, może nawet bardzo dobrym, ale nie posiadającym monumentalności i grozy. Napoleon: we wszystkich obrazach Wereszczagina nie czyni w ogóle wrażenia swojej wielkości, ale przedzej człowieka czującego nad sobą fatum, gniotące niepewnością i tragicznym zakończeniem.

To nie jest ów Napoleon, do którego przyzwyczaili nas historia bohaterów, albo obrazy Delaroche np. „Napoleon w Fontainebleau“ i inne. Wprawdzie Wereszczagin bardzo prawdziwie dowodzi, że ubranie wielkiego cesarza w rosyjskiej zimie, innem być musiało, a zimno 30 stopni nie pozwalało mu na chodzenie w szarym płaszczu i stosowanym kapeluszu — ale to właśnie ciepłe ubranie, te aksamitne, złotem szamerowane szarafany nie pozwoliły mu na wydobycie z tej postaci tego, co się nazywa wielkością i grozą. Malarz przedmiotów, wspaniałej wymalował futra i aksamity niż twarze aktorów tej tragicznej chwili.

Wogóle Napoleon traktowany jest z pewnem odcieniem lekceważenia. Uwagę zwracają znakomicie wykonane wnętrza Kremla, albo cerkwi, głowy charakterystyczne rosyjskich chłopów — podczas kiedy mocarz świata zawinięty we futra mimowoli za mało jest poważnym. Doskonale jest obraz, przedstawiający chwilę, kiedy Napoleonowi przyprowadzają chłopów złapanych na szpiegostwie. Znakomicie scharakteryzowana różnica typów, krajobraz zimowy i kompozycja złożyły się tutaj na jedną dobrą całość. Wspaniałym również jest pożar Kremla, gdzie widać przez popękane mury, niszczący wszystko żywioł.

Wśród murów tych i płomieniem czerwieniących się korytarzy, przechodzi Napoleon ze swita. Inny obraz pokazuje pożar Moskwy i jest równie wspaniałym epizodem z cyklu. Jednym z najlepszych jest jednak wnętrze stancyi. Napoleon w najdalszym planie siedzi pochylony nad rozłożoną na stole mapą wojenną. Na pierwszym planie, obok drzwi stoją i siedzą jego dowódcy. Doskonale charakterystyka postaci i wyrazów twarzy odróżnia ten obraz od innych dodatkowo pod względem psychologicznej obserwacji. Napoleon oczekujący posłów rosyjskich; portret Napoleona; konie postawione w cerkwi i grający w karty francuscy dragoni; wreszcie chłopci oczekujący w zasadzce leśnej wśród zimna i zawisłych na krzakach soplach z oddechu ludzkiego, wszystko to bardzo dobre obrazy, ale nie porywające tak, jakby cykl tego rodzaju porywać powinien.

Powiedzmy otwarcie, że „Cykl Napoleona w Rosji 1812“ ustępuje tak pod względem psychologicznym jak i w wykonaniu cykлом z wojny tureckiej albo ze wschodu. Nie czyni on grozy — pomimo, że martwa natura, krajobrazy zimowe i wnętrza są pod każdym względem przepyszne.

Jeżeli jednak przejrzymy sale gdzie nie ma nie Napoleńskiego — to z prawdziwą przyjemnością patrzemy na wszystkie obrazy większe, mniejsze i malutkie. W każdym z nich widać wielkiego artystę nie tylko z wyjątkowym talentem, ale i z wyjątkową zdolnością obserwacji i technicznego wykonania. Wereszczagin tworzy szybko i z równem zamiłowaniem krajobrazy, architekturę, człowieka.

W cyklu napoleońskim za mało widzimy przejęcia się potęgą historycznego momentu. Dla tego też nie działa on na nas potężnem wrażeniem. Być może, że rosyjski artysta powodowany narodowym patriotyzmem chciał nam dać z umysłu Napoleona „małego“, zgnębionego i zdemoralizowanego niepowodzeniem wojny z Moskwą. Tak, to byłoby pojęcie wyłóśnione, ale nie pod względem sztuki. Byłaby to umyślna degradacja boga na zwykłego śmiertelnika, cierpiącego głód, chłód, klęskę, czującego ból...

Roman Lewandowski.



Z pamiętników pana Goron, paryskiego szefa bezpieczeństwa*).

(Lasek buloński. — Targ w Neuilly-Ferry i wybory. — Łapichłopstwo).

Mianowany tytularnym sekretarzem komisaryatu policyjnego w Neuilly Goron, dostał się pod doskonałą komendę pana Lajenne i tam poznał jak najdokładniej tajemnice lasku bulońskiego. Przelusował wszystkie zakątki wyspy „des Ravagens“, mając umysł zajęty opowiadaniem Eugeniusza Sue, zapoznał się dobrze z wyspą „de la Grande

*) Rzeczywiście na wszystkich obrazach tego cyklu Napoleon nawet postacią swoją w stosunku do otaczających go osób jest za małym.

*) O sensacyjnej książce „Les mémoires de M. Goron“, wydanej u Flammariona w Paryżu, pisaliśmy w nrze 294 „Słowa Polskiego“ z dnia 16 grudnia. Teraz podajemy streszczenie jednego z najbardziej zajmujących jej rozdziałów.

Jatte, ulubionem miejscem dla amatorów pojedynku; miał także dużo do czynienia z łowieniem „machabeuszy“ — jak nazywa żargon marynarzy sekwańskich.

Nie wiedzieć, czy dawniej mniejsze wyznaczano nagrody za uratowanie człowieka tonącego, aniżeli za wyłowienie topielca — choć tak twierdzą starzy flisacy — ale to faktem, że rybacy często płynęli z Neuilly pod prąd, w stronę Paryża, jedynie dlatego, aby przedstawić go władzom w departamencie Sekwany, gdzie wyższe są odnośnie nagrody aniżeli w departamencie „Seine-et-Oise“.

Lasek buloński — zwłaszcza letnią porą — dziwną stanowi atrakcyę dla wszystkich, którzy uciec chcą ze świata, jak z za krat więzienia; nim z tego przejdą w świat inny, nieznan, czują oni potrzebę oddychania raz jeszcze świeżem powietrzem lasku — zdala od zgiełku stolicy. Pewnego poranku Goron skonstatował, że powiesił się tam subiekt handlowy. Dlaczego? Bo ze szkoda swego pryncypała zdefraudował aż 25 franków! Innego razu Goron znalazł tam wisielca, odzianego lachmanami, należącego do jednego ze słynnych rodów angielskich; zajmował on kiedyś wysokie stanowisko w Londynie. Żona jego, przekonawszy się, że jej mąż jest kochankiem jej własnej... matki, poprzysięgła mu swoją, nieubłaganą zemstę; dzięki jej podstępnej intrydze dostał się na galery; zrujnowany szukał pociechy w kieliszku i zmarniał do reszty. Wstrętnym był wyraz zadowolenia, jaki przebiegał w oczach szanownej wdowy wisielca, gdy skonstatowała: O tak! to on!

Obławom, jakie Goron urządzał w lasku bulońskim, nieraz towarzyszyły ciekawe niespodzianki. Chwytało nieraz 13-letnie dziewczynki, których nie można było odstawić do rodziny, bo jej nie miały... Razu pewnego aresztowano tam 67-letnią kobietę, która siwe swe włosy czerniała smołą. Nazywano ją: *la Gironde* — co w żargonie paryskim oznacza: *la belle*. Za czasów Ludwika Filipa była ona jedną z największych znanych nierządnic na bulwarze du Gand. „Tak jest, panie komisarzu — mówiła do Gorona — miałam niestety za dobre serce! Od lat 30 jestem zameldowaną na policyi — ale nie mogę się skarżyć, dzienny mój zarobek wynosi jeszcze przeciętnie trzy franki...“

W ubocznej alei tegoż lasku — w pobliżu Bagatelki — odkrył Goron dwa typy ludzi na wpół dzikich: chłopaka czternastoletniego i dwunastoletnią dziewczę — nowoczesnych *Daphnis i Chloe*; — żyli oni tam sobie na sposób paraguańskich Indian.

Na targu w Neuilly inne Goron znalazł typy. Obok wyższych kupców i handlarzy spotkał tam mnóstwo wydrwigroszów. Pewnego wieczora schwytał na gorącym uczynku jakiegoś „przedsiębiorcę“, który za pomocą oszukańczej sztuczki na bilardzie amerykańskim wyzyskiwał łatwowierność naiwnego tłumu. Goron kazał mu się stawić nazajutrz w biurze komisarzatu; gdy się zjawił, powitał Gorona uśmiechem przyjacielskim i rzekł: „Pan sekretarz pomylił się wczoraj“. Gdy G. z oburzeniem powtórnie wyraził swe przekonanie o tem, że pan „przedsiębiorca“ wyzyskuje publiczność, tenże odpowiedział z uśmiechem: „Nie o to przecież chodzi. Mam *conde* (słowo to oznacza w żargonie: pozwolenie policyi). Goron, jako nowicusz, nie znał tego wyrażenia i zawołał: „Chocobyś pan miał i 2 Konduszów i 10 Turenów — jednak pan jesteś oszustem“. Wtedy dopiero objaśnił mu swój klient, że policya dała mu zezwolenie na ten proceder — a on w zamian daje jej „informacje“. Ponieważ jednak Goron nie mógł uwierzyć, ażeby policya dała mu zezwolenie na manipulację, jakich był świadkiem, kazał mu natychmiast opuścić plac targowy. Starodawna tradycja policyi utrzymywania jako sekretnych agentów: łotrów liczących na bezkarność, jest niemożliwą i dziś w części już zarzucono, bo czyż można dać wiarę zeznaniom złodzieja, któremu zależy może na zgubieniu wroga lub konkurenta?

Prawdziwie politycznej operacji dokonał raz Goron ze swym zwierzchnikiem, komisarzem Clément. Było to w dniu manifestacji, jaką Paryżanie urządzili z powodu występu śpiewaczki Van Zandt w operze. Podziwiać należy zręczny sposób, w jaki policya umie wyzyskać gapiostwo tłumu. Przez dzień cały władza policyjna pełną była obaw — nie o pannę V. Z., ale o prezydenta ministrów Juliusza Ferry, któremu groziła hałaśliwa demonstracja. Rano już stolica dowiedziała się o klęsce doznanej pod Langsven, w Tonkinie; już od rana samego słyhać było groźby skierowane przeciwko gabinetowi pana Ferry — i przeciwko panie Van Zandt. Aby odciągnąć wzbudzony tłum od *Quai d'Orsay*, gdzie stoi gmach ministerstwa spraw zagranicznych, policya, za pomocą tajnych agentów, starała się wszelkimi możliwymi sposobami przyciągnąć tłum manifestantów do *Opéra Comique*. Sztuczkami policyjnymi przytrzymywani demonstranci odczekali końca przedstawienia — a potem już było za późno do pana prezydenta ministrów. Tym sposobem ostatnią ofiarę porażki odniesionej pod Langsven była biedna panna Van Zandt, która od tego pamiętnego wieczora nie mogła już nigdy pokazać się na scenie paryskiej.

Z okazji wyborów 1885 roku zanotować warto zabawne zdarzenie. Gdy wskutek telegraficznych doniesień z prowincji zapanowała obawa, że monarchiści mają widoki zwycięstwa, policya stała ustawicznie w pogotewiu, aby przeszkodzić możliwym zaburzeniom. Jak mało Paryżanie mają ufności w długowieczność rządów, tego dowodzi fakt następny: Uprzejmą prefekt policyi, pan Gragnon, zaprosił

kilku swych podwładnych do swego mieszkania, gdzie wieczorem mieli czekać na dalszy przebieg wypadków. Będąc kawalerem, kazał z pobliskiej restauracji przynieść ostryg, zimnego mięsa i szampana. Około 5. godziny z rana, w chwili gdy p. Gragnon otwierał najświeższe depesze, przysłane z ministerstwa spraw wewnętrznych — powstał zgiełk w przedpokoju. Goron, wybiegłszy, zastał tam płatniczego z restauracji, który oświadczył mu, że póty nie oddali się, póki rachunek nie zostanie zapłacony. „Jutro, jutro — mówi Goron — kasyer prefektury zapłaci; spodziewam się, że macie tyle zaufania do pana prefekta policyi?“. — „Zaufania? — odrzekł sarkastycznie posłaniec. — O nie! Jutro! Przecież jutro już prefektem będzie kto inny; wszyscy przecież mówią, że rząd poniosł klęskę w wyborach!“ — Wymowa Gorona nie zdołała przekonać go o tem, że rządy po upadku także płacą swe długi lub przekazują je swym następcom — i pan prefekt, naśmiewszy się zdrowo, zapłacić musiał rachunek!

W Pautin, północno-wschodniej części Paryża, Goron przyczynił się do odkrycia jak największej podległej łapichłopstwa, zorganizowanego przez t. zw. *bande noire*. Jest to pewnego rodzaju stowarzyszenie wolnomularskie, założone przez oszustów rozmaitych kategorii, a mające na celu wyzyskiwanie kupców z prowincyi. Są to po większej części „ludzie, kupujący i sprzedający“ towary głównie spożywcze, dlatego, że w razie nieudanej sprzedaży, służą im one za pożywienie. Nie bez racyi pewien prokurator scharakteryzował tę bandę, jako ludzi, żyjących tylko konserwami, ostrygami, truflami, a popijającymi to wszystko szampanem. Procedura łatwa. Wydzierżawia się sklep, ozdobiony wspaniałym szyldem: „Generalne stowarzyszenie spożywcze“, lub „Dock'i alimentacyjne“. O ile możności chwytą się jaką kaucyę od człowieka, szukającego dobrej posady, a potem, powołując się na doskonałe referencje, prosi się fabrykantów o oferty. Towar w znacznej ilości nadchodzi — płatny za dni 90. „Operator“ sprzedaje go za cenę „przystępną“ — a w przeddzień terminu placu ułatwia się. Dzięki niedyskrecyi jednego z towarzyszy tej zacnej bandy, udało się Goronowi aresztować niemniej jak 70 czynnych członków tego zacnego stowarzyszenia.

K. R.



Ze spraw miejskich.

(Dzieje lwowskiego ratusza).

Pojęcie ratusza prawie nieodłącznem jest od pojęcia miasta. To też, od kiedy Lwów jako miasto istnieje, istniał niewątpliwie ratusz, o którym jednak nie mamy pewnych wiadomości. Nazwa „stary rynek“ każe przypuszczać, że w środku tego placu, gdzie dziś znajduje się synagoga, stał ratusz dawnego Lwowa, który w pierwszej dobie swego istnienia rozsiadł się był u stóp Wysokiego Zamku.

Pierwszą pewną, źródłową wiadomość o ratuszu lwowskim w rynku dzisiaj podają akta z roku 1382, a w r. 1411 wspominają już o istniejącej przy nim wieży, zegarze i strażniku. Ratusz na dzisiejszym rynku zbudowany został wkrótce po zajęciu Rusi czerwonej przez Kazimierza Wielkiego, od którego Lwów otrzymał prawo magdeburskie w r. 1356. Ten ratusz Kazimierzowski spłonął w czasie wielkiego pożaru, który nawiedził całe miasto w roku 1381. Odbudowany po tym pożarze ratusz pokryty dachówką, posiadał obszerne piwnice, w których na mocy wilkirzu z roku 1387 wyłącznie — a nigdzie indziej — można było sprzedawać wino.

Ten drugi ratusz przetrwał do końca piętnastego wieku. Kiedy ze wzrostem miasta okazał się za szczupłym, postanowiono go powiększyć. W tym celu z starego budynku rozebrano część jedną od zachodu, aby dobudować nowe skrzydło, dalej wysunięte i nową wieżę. Budowę rozpoczęto z wielką uroczystością w r. 1489.

Królewicz Jan Olbracht, wracający właśnie ze zwycięskiej wyprawy na Tatarów, zakładał sam kamień węgielny pod budowę, którą prowadził i ukończył w r. 1491 mistrz murański Hans Stecher. Na wieży znajdowała się galeria dla trębacza, zegar i dzwon wagi 11 centnarów.

W połowie XVI. wieku dobudowano od wschodu jeszcze jedno skrzydło, w roku zaś 1598 staraniem burmistrza Stancela Szolca zrestaurowano gruntownie cały ratusz tak zewnątrz jak wewnątrz.

W 20 lat później zasłużony rajca dr. Marcin Kampian przeprowadził ponowną restaurację i przebudował dotychczasową nieestetyczną wieżę.

W tym celu wznosił ją do wysokości czwartego piętra, na pozostałej czworobocznej podstawie zbudował ośmioboczną wieżę, 30 sążni wysoką, pokrytą licznymi ozdobami z galerją i smukłą kopułą u szczytu. Ręk do tej przebudowy dostarczyły rzesze próżniaków, zmuszone siłą do pracy. W tej formie przetrwał ratusz lwowski do r. 1826.

W całości przedstawiał on budynek czworokątny, podłużny, frontem zwrócony — jak obecny — do południa. W rzeczywistości składał się on z trzech oddzielnych budowli, pochodzących z różnych epok i różnej wysokości. Środkowa o małych, nieregularnie rozłożonych okienkach z kamienną płaskorzeźbą N. P. Maryi u szczytu, była najstarsza, bo sięgała XIV.

wieku. Skrzydło wschodnie z XVI wieku, odznaczało się odrębną konstrukcją dachu i było nieco wyższe. Oba te skrzydła miały wewnątrz osobne podwórko i osobne też wejścia.

Część główna, od zachodu, była najwyższa, miała regularnie rozłożone okna, u szczytu zaś wieńczyła ją wysoka pilastrowa atyka. Sześć schodów kamiennych prowadziło do dużej, półkolistej bramy. Przy schodach, na słupie, ośm stóp wysokim, stał lew kamienny, dzierżący tarczę z herbami Polski i miasta. Jest to ten sam lew, który znajduje się na kopcu, ale wpływami atmosferycznymi wielce zniszczony.

W tej właśnie części, od strony zachodniej znajdowała się wieża, herbikami, płaskorzeźbami i napisami licznie przyozdobiona. Tu, na wysokości drugiego piętra, znajdował się napis, odnoszący się do budowy: *Meister Hans Stecher, Anheb des Bauwes Anno Domini MCCCCXCI.*

Powyżej, na wysokości piątego piętra, sterczała wielka płaskorzeźba, przedstawiająca pięciowiosłową łódź z masztem i żeglarzami, jako symbol handlowej potęgi miasta. Od strony południowej, na ścianie wieży, umieszczony był kamienny orzeł polski z herbem królewskim Wazów na piersiach, wyżej znajdował się zegar, a dalej galeria strażnicza wsparta na konsolach kształtu lwów. Smukły szczyt wieży z dzwonem pośrodku zdobił na żelaznym pręcie orzeł polski, pod nim zaś — jak obecnie — złoty lew herbowy miasta polyskiwał z daleka zbliżającym się gościom lub wrogom, jako dumny symbol siły i straż. W części głównej ratusza mieściły się główne izby radzieckie i kancelaryjne — w innych jego częściach znajdowały się sklepy, magazyny, mieszkania służby, areszta i strażnice pacholców miejskich, zwane „ceparnikami“ — od cepów, którymi ci pacholcy byli uzbrojeni.

W czasach rozkwitu miasta urządzenie wewnętrzne ratusza, odznaczało się wielką wytwornością. Drogocenne kobierce wschodnie, okna weneckie, liczne portrety i mapy, broń przeróżna i droga, piękne opony zdobiły poszczególne sale. Do przyjęć uroczystych, mieściła się w ratuszu własna zastawa z srebra, cyny i mosiądzu, wszystko zdobione herbami miasta.

O mury tego ratusza odbijały się wszystkie w dziejach miasta ważniejsze zdarzenia. Tu wydawano wyroki dla miasta i całej Rusi, tu witano wielu własných i obcych władców i dygnitarzy duchownych i świeckich, tu sprawiano królom uczty i składano hołdy, tu ogłaszano wszystkie dla miasta i Rusi pomysły i smutne zdarzenia, stąd „źródła dobrego porządku na całe rozlewały się miasto“.

Mury starego ratusza widziały od czasu Władysława Jagiełły prawie wszystkich królów polskich, którzy za każdą bytnością we Lwowie spieszyli chętnie do sali radnej, głównego ogniska, niejako serca miasta. Do niej też pierwsze swe kroki skierował król szwedzki Karol XII, który zdobywszy Lwów w r. 1704 w tej sali właśnie w otoczeniu swoich generałów dyktował miastu upokarzające żądania.

Ten ratusz nie znajdował się jednak sam jeden w środku rynku. Wzdłuż niego bowiem, równolegle do linii, prowadzącej od ul. Trybunalskiej do ul. Dominikańskiej, ciągnął się szereg dwunastu domów, oddzielony od ratusza wąską ulicą, zwaną „Pasamoniczą“.

Z biegiem lat, kiedy pod koniec zeszłego stulecia okazała się potrzeba nowej rekonstrukcji i powiększenia ratusza, poczęto przedewszystkiem wykupywać owe domki, aby uzyskać miejsce na rozszerzenie sali. Wypadki jednak polityczne i opłakane stosunki finansowe miasta, zdziaływały, że dopiero w r. 1813 zaczęto z wolna demolować stary gmach a dopiero w r. 1826 wzięto się energiczniej do pracy. Postanowiono zwać cały gmach prócz wieży, która miała wejść w skład nowego ratusza. Kiedy jednak nieumiejętnie zabrano się do rzeczy, nastąpiło osłabienie fundamentów a za niem sławne zawalenie się wieży w dniu 14 lipca 1826. Dolna czworograniasta część wieży, zachwiana w swojej posadzce, poczęła się gwałtownie rozsuwać i rozstąpiła się na dwie strony, skutkiem czego część górna runęła na rynek. Dzięki wczesnemu ostrzeżeniu budowniczego Kawki, tylko cztery osoby padły ofiarą tego wypadku.

W ten sposób Lwów został bez ratusza. To przyspieszyło akcję. Miasto wykupiło wszystkie domki na środku rynku stojące, usunęło odwach i w r. 1827 przystąpiło do budowy nowego ratusza, który ukończony po dziesięciu latach kosztem 800.000 zł. m. konw. stoi do teraz, choć w nieco zmienionej formie. Ośm sal małych, jedna duża i 156 pokoi zawierająca ta nowa budowa. Wieża miała na szczycie kolistą kopułę blaszaną.

W roku 1848 gdy poczęto bombardować miasto, ratusz padł, jeden z pierwszych, ofiarą. Górna część wieży runęła, sufit i posadzki trzeciego i drugiego piętra wypaliły się do szczytu wraz z całym urządzeniem biur z aktami i sprzętami.

Zaraz w następnym roku rozpoczęto naprawę. Sufity i podłogi pobudowano nowe, stare olbrzymie piece żelazne, zastąpiono nowymi kamykowymi. Na wieży nie zbudowano już nowej kopuły, lecz szczyt jej opatrzone żelaznymi słupami grubymi, które z daleka widziane przedstawiają się jak cynki u murów fortecznych.

Potężny słup żelazny, wysterczający w pośrodku, z orłem austriackim u szczytu i ruchomym lwem złożonym u dołu, polyskuje, jak dawniej, zbliżającym się gościom lub wrogom.

Od czasu tej naprawy przez przeciąg czasu blisko 50-letni, zab czasu nadgryzł już niejedno w tej silnej budowie. W porównaniu z gmachami nowego stylu, przedstawia się on jako rudera nie odpowiadająca najskromniejszym wymogom piękna i komfortu.

Już za rządów obecnego prezydenta dokonana rekonstrukcja pierwszego piętra, gdzie mieszczą się biura prezydium Rady miejskiej i magistratu, jest tylko nieznaczna częścią tego, co dalej zrobić jest koniecznem. Na zupełną restaurację przeznaczona jest z funduszu pożyczkowego kwota ćwierć miliona zł.

Konkurs na szkice rekonstrukcji już ogłoszono — a kiedy po latach, zapewne jeszcze wielu, praca ta zostanie ukończona, ratusz lwowski zająśnie jak dawniej pięknością i stanie się może znów, z rozwojem życia autonomicznego, ową krynicą, z którego strumienia „dobrego porządku rozlewać się będą na całe miasto“.

Oby tak się stało!

Miro.



Hodowla kwiatów pokojowych w zimie.

Gdy na łonie natury całe życie roślinne zamarło, tem większą sprawia nam radość działwa Flory zdołająca wnetrze pomieszczeń zielenią swą i kwieciami. Z tem większą także troskliwością rozraczamy nad niemi opiekę, strzegąc ich, jakby spuściznę po pięknych dniach wiosny i lata. Ale sama troskliwość, ba, czułość nie wystarcza jeszcze w tym wypadku. Hodowla kwiatów to sztuka, wymagająca prócz dobrych chęci — także pewnych wiadomości, bez których, często najusilniejsze starania zawodzą a nawet z wręcz niepożądanym spotykają się skutkiem.

Już samo umieszczenie kwiatów pokojowych w zimie przedstawia znacznie większe trudności, niż to profanom się wydaje. Rośliny dla pomyślnego swego rozwoju wymagają nieodzownie pewnych warunków. Owóż co do miejsca dla naszych roślin pokojowych, to wybierać je należy w pobliżu okna, w świetle o ile możności najpełniejszym, gdyż jak ryba bez wody, tak roślina obejść się nie może bez światła słonecznego. Po niedostatecznym świetle odżywianie się rośliny postępuje tak ospale, iż przemianie materji wydołać nie może i biedny kwiatek w krótkim zazwyczaj czasie ginie.

Nie jest też rzeczą obojętną, ku jakiej stronie zwrócone są okna. Okna północne zgoła nie nadają się do kultywowania roślin, lepiej już odpowiadają celowi okna zwrócone ku wschodowi, lub zachodowi, ale w zupełności nadają się jedynie okna południowe. Dla nieobznajomionych z warunkami życia roślinnego notujemy przestrożę, że do czyjego pomieszczenia słońce wcale nie zagląda, powinien oszczędzić sobie kłopotu i wydatku na hodowlę kwiatów, gdyż przy największej nawet staranności, rośliny trzymać się u niego nie będą.

Do niedawna stawiano kwiaty wprost na podstawie futryny okien. Wśród gospodyń jednak coraz żywszy budzić się poczęł protest przeciw takiemu zabarykadowaniu okien. Nie ma też prawie obecnie domu, gdzie nie znalazłoby się jednego, lub nawet kilku koszu na kwiaty. Kosz taki ma przedewszystkiem jedną ważną zaletę: oto daje się łatwo przenosić z miejsca na miejsce, można więc stosownie do potrzeby kwiaty odwracać do słońca, lub też zwracać ku niemu. Ale nie brak koszu pewnych stron ujemnych. Zazwyczaj ustawia się na nim kwiaty zbyt gęsto obok siebie, co naturalnie na pożytek wyjść im nie może, rośliny bowiem wówczas przeszkadzają sobie nawzajem w rozwoju i rabują jedna drugiej światło tak, że ostatecznie prawie żadna nie ma go podostatkiem. Jeśli kosza nie przesuwamy, to znaczy jeśli zawsze tylko jedna jego strona jest oświetlona, to trzeba być przygotowanym, że kwiaty ustawione z tyłu, pozbawione światła, zmarnieją. Dla tego też, kto chce kwiaty koniecznie utrzymywać w koszu, niech sprawi sobie kosz z taffi ruchomej, obracającej się dokoła osi, tak aby można było rośliny partjami, przez stosowne w ciągu dnia przesuwanie taffi, obdzcierać światłem.

Nie jest też rzeczą obojętną, w jakim porządku rośliny układać w koszu. Regułą być powinno, że w pierwsze szeregi idą rośliny delikatne, o świeżych, dobrze rozwiniętych pędach, lub też kwitnące — w ostatnim zaś szeregu ustawiać się winno rośliny drzewiaste, twarde i listne — te bowiem stosunkowo najmniej potrzebują światła.

Rzecz naturalna, że nie wszystkie rośliny nadają się do hodowli zimowej, jeśli więc chcemy mieć tę przyjemność, by kwiecie w naszych pokojach uragało martwocie zimowej, to trzeba wiedzieć, jakie gatunki roślin ów cel spełnić potrafią. Rośliny, wymagające ciepła wilgotnego, jakie daje tylko oranżerya, nigdy prosperować nie mogą w suchej atmosferze ogrzewanych pokojów. Najłatwiej utrzymują się w zimie rośliny liściaste, a więc: draceny, palmy wachlarzowe (zwłaszcza burbońska), filodendron, drzewo gumowe, azalia, plectogone, z roślin zaś kwitnących, przedewszystkiem hyacenty i tulipany. Kto jest amatorem kakteów, niechaj spróbuje z nimi szczęścia, nie wymagają one szczególnej staranności, byle nie zapomnieć, że w zimie

woda, którą tak lakomie konsumują latem, jest dla nich zabójstwem.

Baczną uwagę zwracać należy na stan doniczek. Wazon powinien być przedewszystkiem porowaty, by powietrze mogło przezeń przechodzić, a zarazem, aby bez przeszkód odbywało się tą drogą parowanie zbyt silnej wilgoci z ziemi, zawartej w wazonie.

To też nikomu nie radziłbym ozdobać lakierowanych wazonów; prosty wazonik z wypalanej gliny pozostanie na zawsze wzorem niezastąpionym. Trzeba jednak świeże doniczki przed użyciem zanurzyć na kilka minut w wodzie, w przeciwnym bowiem razie zbyt lakomie chłonną wilgoć z wypełniającej je ziemi. Stare wazoniki należy przed użyciem gruntownie oczyścić, należy też od czasu do czasu oskrobywać lekko zewnętrzną powierzchnię doniczek, aby podtrzymywać ich przesiąkalność i przewodność.

Rozmiary wazonu nie są obojętne. Jeżeli mamy roślinie wazon zbyt wielki, wówczas narażamy ją na to, iż zimny nie przetrwa, korzenie bowiem pogniją.

Pomiędzy podstawą wazonu a powierzchnią, na której on spoczywa, powinno pozostać wolne miejsce dla powietrza — należy więc pod wazoniki podkładać kawałki drzewa, lub kamyki. Wówczas bez przeszkód spływa zbyt silna woda, której skutkiem bywa tak częste gnicie korzeni, i — co za tem idzie — zamarcie rośliny. Podkładać pod wazonik miseczkę z wodą w zimie w ogóle nie wolno — w lecie wychodzi to na zdrowie tylko roślinom błotnym.

Mylą się ci, którzy sądzą, iż wystawiwszy rośliny na światło i podlawszy je (ileż razy za obficie!) spełnili wszystko. Podlewanie jest osobną sztuką, której tylko doświadczeniem nabyć można. Jedna roślina więcej, inna mniej potrzebuje wody. Jako regułę przyjmujemy się, że ziemia w doniczce powinna być miernie i równomiernie zwilżana — rzecz o tyle nielatawa, iż warstwy górne wysychają bardzo rychło, dolne zaś pozostają prawie stale wilgotne. Jest też jednym z najczęstszych błędów, jakich dopuszczają się miłośnicy kwiatów, to, że o stanie wilgoci sądzą z górnej warstwy ziemi w wazonku.

Chcąc z kwiatów mieć pociechę, należy przekonać się o stanie wilgoci ziemi w całym wazonku, a to w ten sposób, by przewiercić każdym razem za pomocą cienkiego patyczka otwór aż do dna wazonka, — otwór, który naturalnie należy następnie zagnieść. Kto zresztą umie obserwować należyte dźwięki, poradzi sobie nierównie łatwiej. Wystarczy bowiem opukać dokładnie wazonek, by poznać stan wilgotności w różnych miejscach. Od miejsca, gdzie wazonek wydaje dźwięk jasny, ziemia jest sucha, gdzie zaś dźwięczy głucho, przesiąkła ją wilgoć.

Trzeba brać i to na uwagę, że ziemia sucha przepuszcza wodę jak rzeszoto. To też należy w takim razie polewanie ponawiać kilkakrotnie, a spływającą do podstawki wodę każdym razem usuwać. Kaktusów, jak już wspomniano, prawie wcale podlewać nie wolno w zimie. Są to rośliny skalne, znoszące łatwo najsilniejszy skwar słoneczny, największą posuchę.

Do podlewania najlepiej używać deszczówki, lub — co na jedno wyjdzie — wody ze stopionego śniegu. Wody studziennej używać można jedynie wystawiając. Również temperatura wody nie małe ma znaczenie. Najlepiej odpowiada celowi woda posiadająca ciepłą powietrza w pokoju. Dla tego też koneweczka z wodą powinna zawsze stać w pokoju.

Bardzo ważnym warunkiem zdrowia roślin jest czystość. Jeżeli kurz zatyka pory liści, nie mogą one oddechać i marnieją. To też powinno się listki starannie oczyszczać z kurzu, a od czasu do czasu omywać letnią wodą za pomocą gąbki.

Oto najważniejsze reguły, zapewniające roślinom pokojowym także w zimie pomyślny rozwój. Oczywiście, kto chce mieć przyjemność hodowli kwiatów, nie może poprzestać na tych ogólnych wskazówkach, ale wystarczą one może jako tło przynajmniej dla własnych doświadczeń, a tylko te doświadczenia decydują o powodzeniu. A. N.



Rozmaitości.

O jednym i tem samem nie jedno i to samo.

„Gdyby cała ludzkość miała jedną głowę, ściałbym ją“.

„Gdyby cała ludzkość miała jedną głowę, ucałowałbym ją“.

„Gdyby cała ludzkość miała jedną głowę, ostrzygłbym ją“.

„Gdyby cała ludzkość miała jedną głowę, wymierzyłbym jej policzki“.

„Gdyby cała ludzkość miała jedną głowę, nie miałbym co jeść“.

„Gdyby cała ludzkość miała jedną głowę, niechabym ja był tą głową“.

(Kur. Warsz.).



Rusini w Kanadzie.

Faktem jest powszechnie znanym dość energiczna emigracja ruska, kierująca się w ostatnich czasach z Galicyi do Kanady. O tych emigrantach smutnie przed paru tygodniami głoszone wieści w tutejszych gazetach ruskich. Podawały one mianowicie, iż 700 rodzin ruskich w Kanadzie przeszło na prawosławie, że liczbę tę podnieść można znacznie wyżej itd. itd. Wieści te w swoim czasie notowaliśmy z obowiązku dziennikarskiego.

Obecnie w sprawie tej zabiera w *Dile* głos dr. J. Oleskow, znany jako inicjator ruskiej emigracji do Kanady i prostując niedokładne twierdzenia, o których wyżej, jednocześnie podaje ciekawe a tym razem zapewne autentyczne wiadomości o Rusinach w Kanadzie i ich wyznaniowych stosunkach. Pomijając wycieczki polemiczne p. Oleskowa w stronę pism polskich, podajemy tutaj niektóre z faktów przezeń przytoczonych.

Wieść o przejściu 700 ruskich rodzin na prawosławie, uważa p. Oleskow za alarmujący wymsk. Ogół Rusinów w Kanadzie nie dochodzi dotychczas do 5000 dusz i zapewne wszyscy musieliby zmienić wiarę, ażeby ta wieść miała być prawdziwą. Do końca października r. b. — według urzędowych danych rządu kanadyjskiego — przybyło ogółem 4038 Rusinów do Kanady, przeważnie prawosławnych z Bukowiny. Utworzyli oni 5 wielkich kolonij, położonych w wielkiej od siebie odległości, bo rozdzielonych setkami mil angielskich. Oprócz tego jest też pewna liczba małych osad, liczących po kilka lub kilkanaście rodzin.

Nastarsza z tych kolonij, Edmonton, liczy do 180 ruskich rodzin i ta właśnie — jak zapewnia dr. Oleskow, stanowi kamień obrazu w sprawach wyznaniowych. Zawłazek tej osady utworzyło kilkanaście rodzin Bojków z Niebyłowa, którzy przywędrowali tam przed laty sześciu. W roku 1896 przybyło około 30 rodzin z różnych stron Galicyi, a pozostali później, najwięcej z Bukowiny, gdzie w r. 1897 wybuchła kompletna gorączka emigracyjna do Kanady. Pierwszą potrzebą, jaką chłop polski, czy ruski odczuwa na obczyźnie, jest — kościół własny i ksiądz. Gdyby zaraz z początku r. 1897 znalazł się w Edmonton ksiądz ruski, byłoby wszystko, jak mniema p. Oleskow, dobrze. W tym sensie wyrażali się nieraz w listach dawni i późniejsi koloniści, pisząc: „Niczego nam nie potrzeba, tylko kościoła i księdza“.

Tymczasem księdza brakło.

Dostrzeżono tę potrzebę prędzej, aniżeli u samych Rusinów, z dwóch, aż różnych stron: ze strony francuskich księży Jezuitów, zamieszkałych w Kanadzie i ze strony popów prawosławnych. Jedni i drudzy — jak zapewnia p. Oleskow — zaczęli czynić starania, ażeby pociągnąć Rusinów do siebie; jedni i drudzy obiecywali pobudować swym kosztem cerkiew i dać bezpłatnie księdza. Ta „licytacja“ zdemoralizowała ludzi, to też zaczęli spekulować na darmo cerkiew, mówiąc sobie: niechaj ją postawią, a my już damy sobie radę. Księża francuscy postarali się nawet o grunt pod budowę kościoła, ale skoro posiadłość zapisali na „Roman Catholic Congregation“, Rusinom się to nie podobało. Tymczasem, aż z dalekiego m. Seattle (Stan Washington na wybrzeżu Pacyfiku) przyjechał pop prawosławny Kamniew, a z nim „psałomszczyk“ Aleksandrów i opierając się na gromadce Bukowińczyków rozpoczęli agitację:

zwołali zebranie i odprawili prawosławne nabożeństwo. Wtedy niektórzy z kolonistów oświadczyli, że przyjmą prawosławnego popa za swego, *nota bene* jeżeli im zwierzchność prawosławna wybuduje cerkiew i utrzymywać go będzie swoim kosztem. Do tego jedynie — jak zapewnia dr. Oleskow — ogranicza się cały zysk prawosławia w Kanadzie. Naturalnie, pop Kamniew, osiągnąwszy ten zysk, uderzył w wielki dzwon; w dziesięciokrotnie podniósł znaczenie faktu i na papierze zaanektował dla kościoła prawosławne wszystkich już Rusinów, za co zdażył dostać od petersburskiego synodu piśmienną pochwałę „za gorliwość w szeregach prawosławia“.

Jednak — sędzi dr. Oleskow — niema (?) w tem poważnego niebezpieczeństwa dla Kościoła grecko katolickiego. Niech przyjdzie dziś ksiądz grecko-katolicki do Edmonton, a wszyscy „nawróceni do prawosławia“ przyjmą go ze łzami radości i zapalem, jak przyjmowali, już po Kamniewie, księdza grecko kat. Dmitrowa, znanego z energicznej walki przeciwko propagandzie prawosławnej w Ameryce; ale — robi zastrzeżenie dr. Oleskow — przyjąwszy go w sposób najgorętszy, obecni zepsuci „licytacyja“ prawosławnych i katolików, najukochańszemu swemu kapłanowi... nie dadzą ani centa. Tak się stało z ks. Dmitrowem, który przybywszy z Mt. Carmel, ze Stanów Zjednoczonych, napróżno objeżdżał kolonie ruskie w Kanadzie szukając poparcia przyszłych parafian; musiał wrócić do Buffalo, do Stanów Zjednoczonych, straciwszy własne pieniądze.

Tak małe sytuację dr. Oleskow.

Trzeba przyznać, że nie można jej bynajmniej uważać za tak pomyślną, jak mniema pan Oleskow. Położenie, w którym Rusini, pomimo „łez radości“ dla swego księdza, gotowi są sprzedać swą wiarę za gotówkę więcej dającym, nie jest wcale pocieszającym; przeciwnie — bardzo przykrem i groźnym. Ze tym „więcej dającym“ na razie będzie prawosławny pop i synod petersburski, to można przewidywać... To też środek, proponowany przez dra Oleskowa, ażeby Rusini „zażądali“ od Kongregacji *de propaganda fide* przyzwoitej sumy na wysłanie i opatrzenie księdza unickiego w Kanadzie, przedstawia tylko paliatyw, mało skuteczny. Tam, gdzie brak stałości w wierze ojców, gdzie nawet z punktu widzenia p. Oleskowa niema nic dziwnego, iż „niepiśmiennemu włościaninowi“ więcej się podobał obrazdek prawosławny, tam trudno liczyć na poprawienie się stosunków, na powrót na dawną drogę tych, którzy już odpadli... Ratowaćby raczej należało jeszcze nie dotkniętych propagandą prawosławia.

Sprawy bieżące.

Lwów, 31 grudnia.

Podwoje „greckiego teatru“ przy Franzensring zostały zatem zamknięte. W wypadku tym chodzi jedynie o termin prawno-polityczny. W skutek zamknięcia sesji Rady państwa, zalicza się nietykalność poselska do wspomnień przeszłości, — a dotychczasowe prezydium izbowe spełnia tylko rolę *d'un chevalier servant*, aż do zebrania się parlamentu. Organa niemieckiej opozycji z *Neue Freie Presse* na czele utrzymują, że *lex Falkenhayn* utraciło moc obowiązującą, — albowiem w ciągu zamkniętej sesji nie sprawdzono protokołu posiedzenia, na którym owo prawo zapadło. Oprócz czysto jurydycznych na-

stępstw, wysnuwa ten główny *tambour battant* obstrukcyi i inne jeszcze przypuszczenia. Przepowiada zatem bliskie ustąpienie szefa sekcyjnego Halban-Blumenstocka ze stanowiska dyrektora kancelarii Rady państwa. Nieraz w ciągu burzliwych chwil ubiegłej sesji padały w Izbie poselskiej groźne i niewyważone wybrki, zwrócone przeciw temu dygnitarzowi, który był szczególnie przedmiotem pocisków antysemitów.

* * *

Sejm niższo-austryacki doczekał się kwesty rozporządzeń językowych. Poseł Hofer wniósł do la ski marszałkowskiej wniosek, który domagał się cofnięcia tych rozporządzeń, jako gwałcących ustawy państwowe.

Baron Gudenus opierał się odczytaniu tego wniosku, — skutkiem czego cały szereg mówców poszedł w ogień dyskusji. Szowinizm, jako *ultima ratio* był głównym bodźcem wywodów. Jeden z mówców dr. Kopp utrzymywał, że jeżeli tak dalej wypadki się rozwijają, będą się musieli Niemcy w Dolnej Austrii uczyć po czesku.

* * *

W chwili, gdy atmosfera jest jeszcze ciągle przesyconą walką w wiedeńskim parlamencie, gdy czeskie i niemieckie hasła padają naokół, jak płonące żagwie, — zgasło w Pradze życie człowieka, który nie przez swoją polityczną działalność, — ale prace naukowe brał udział w tym potężnym narodowościowym sporze.

Zmarły 87-letni historyk Karol Adolf von Höfler, nie był orłem na polu dziejopisarstwa, ale twórczość jego nacechowaną była pedanterią, mrówczą sumiennością, wielką metodycznością. Z przekonania katolik, papista, potrafił często o temata kościelne, a książka jego, opisująca walkę pomiędzy *imperium* a *sacerdotium*, była dosyć żywym malowidłem szybkiego wzrostu władzy świeckiej „rzymskich biskupów. Pamiętną pozostanie polemika Höflera z ojcem historyografii czeskiej Palackym. Höfler bez ogródek zaatakował i zarzucił Palackemu przekręcenie źródeł i używanie ich o tyle, o ile mu się łagodnie wydawały do „narodowej“ roboty.

Höfler zdarł też z husytyzmu aureolę ruchu religijnego i nazwał go zwykłą ewolucją narodowościową, która była rzuceniem rękawicy niemieckiemu światu. Naturalnie śmierć człowieka, który wiernie walczył pod sztandarem niemieckim i zwracał się przeciw Czechom, nabiera większej aktualności, niż w zwykłych czasach.

* * *

Posiedzenie centralnego komitetu wyborczego dla zachodniej Galicyi odbędzie się dnia 4 stycznia w Krakowie.

* * *

Narodni Listy ogłaszają listy posłów Madeyskiego, Rutowskiego i Lewickiego, którzy zastrzegają się przed zarzutami, jakoby chcieli rozluźniać łączność prawicy i twierdzą, że przeciwnie, dają do jej wzmocnienia.

27 Pierwszy bunt.

SZKIC

przez

Abgar - Sottana.

(Ciąg dalszy).

Jakiś czas było zupełnie cicho w sali jadalnej, później usłyszałem, że ktoś ostrożnie się zbliża do zamkniętych drzwi. Ścisnąłem mocniej krucicę w dłoni i wlepiłem oczy w drzwi. Nie otwierały się one tylko ktoś zapukał w nie cicho, trzy razy. Instynktem jakimś uczułem, że to nie jest nieprzyjaciel... Zapytałem więc pół głosem:

— Kto tam?

— To ja, Józio — ozwał się głos z zadrzwia — a do mnie nie strzelisz!

Jeżeli mi dasz słowo, że nie przychodzisz mnie wiązać — odpowiedziałem — to nie strzele.

Zaczął się śmiać i wszedł.

Nie odzywałem się do niego ani słowa. On przestał się śmiać i zapytał:

— Co z tego będzie?

— Nic! Kto się do mnie zbliży, w łeb mu strzele i koniec.

— A jak kanonik poszle po policję?

— To policjantowi w łeb strzele — odpowiadałem z zaślepioną wściekłością.

On znać zrozumiał, że żadna perswazyja mi nie pomoże, bo zamyślił się smutno i po chwili powiedział:

— Głupia sprawa! Wiesz, masz ty komu w łeb strzelać, żeby cię potem powiesili, to...

Przerwałem mu ze złością:

— Niech wieszają, mnie wszystko jedno! Bić się za darmo nie dam.

— Ależ słuchaj — przerwał niecierpliwie — powiadam, że masz się posunąć do takiej ostatecz-

ności, to lepiej uciekaj stąd... Pójdź do tej ciotki, u której wczoraj byłeś... To jakaś wielka pani, a kanonik szanuje wielkich panów... Rozpowiedz jej wszystko... Może ona na kanonika wpłynie... Tymczasem on się uspokoił.

Myśl proponowanej ucieczki podobała mi się nadzwyczajnie. Od pierwszej jednak chwili nie miałem zamiaru zgłaszać się do ciotki Pomianowej. Po prostu wstydylibym się być pokazać przed nią i opowiadać jej o wszystkich tych szaleństwach, które od wczoraj popełniłem... Józiowi odpowiedziałem, że zgadzam się na ten projekt, ale w duszy postanowiłem uciekać w świat daleko, gdzie mnie nogi poniosą.

Projekt ucieczki ułożyliśmy w jednej chwili. Józio poszedł zobaczyć, czy kanonik jest jeszcze w zakładzie. Ja tymczasem wdziałem grube buty i ciepłe odzienie, ubrałem się w watowany paltot i czekałem nań z niepokojem. Za chwilę powrócił z wieścią, że kanonik gdzieś wyszedł i zapowiedział, że wróci aż na obiad.

Przebiegłem przez salę naukową i znalazłem się na kurytarzu. Pocziwy Józio, pomimo niebezpieczeństwa, na jakie go to narażało, odprowadził mnie aż na dół. W bramie oddałem mu krucicę, prosząc, żeby przez Pucha odesłał ją Stalfowi i pożegnałem się z nim serdecznie. Za chwilę utonąłem w tłumie ulicznym.

Odetchnąłem! Nie miałem najmniejszego wyobrażenia, gdzie pójdę, w którą stronę się obrócę, ale wiedziałem, że nikt mnie nie przyjdzie brać do „stracymbry“. Pomimo tego oglądałem się kilka razy po za siebie instynktowo, z obawy, czy mnie kto nie ściga.

Nie zdając sobie z tego sprawy, gdzie idę i poco, szedłem ciągle przed siebie i znalazłem się prawie zupełnie za miastem na jakimś placu. Na

którym żołnierze odbywali ćwiczenia. I dochodziły odgłosy komendy:

— *Eins, zwei, drei.*

To znowu na przemiany po polsku:

— Raz, dwa, trzy!

Kilku żydów, sprzedających prele i bułki, ścisnęli się byli w jedną grupę i oczekiwali na koniec ćwiczeń, pewni widocznie, że swój towar rozsprzedają żołnierzom.

Przystąpiłem do tych żydów i kupiłem trzy bułki po dwa centy. Przy tej sposobności wdałem się z nimi w rozmowę, z której się dowiedziałem, że ten plac nazywał się „Ogrodem Jabłonowskim“, i że znajduję się na „Stryjskim przedmieściu“.

— A panicz nie wie, gdzie zaszedł? — spytał mnie poufale jeden z żydów.

— Teraz zapusty — odpowiedziałem — szkoły nie ma, więc sobie spaceruję, żeby poznać miasto.

— A ta droga dokąd prowadzi? — spytałem znowu, wskazując na szosę, która szła opodal.

— Do Stryja.

W tej chwili spostrzegłem kłęby dymu i usłyszałem turkot idącego pociągu, zadałem więc znowu żydkowi pytanie:

— A co to za kolej tam jedzie?

— No, ta kolej, co idzie do Bóbrki, do Stanisławowa, do Czerniowce... Ta nowa kolej.

Byłem nareszcie w domu. Znalazłem linię przewodnią, wiedziałem przynajmniej, gdzie się znajduje... Odszedłem kilkadziesiąt kroków od żydów, w kierunku linii kolejowej, usiadłem na jakimś pniaku i zacząłem najspokojniej zjadać kupione od żyda bułki.

Później przerachowałem pieniądze, które miałem przy sobie; było tego wszystkiego dwa guldeny i szesnaście centów. Szczupła zawartość sakiewki, zrobiła na mnie smutne bardzo wrażenie, zacząłem rozmyślać nad tem, w jaki sposób mógłbym zwię-

KRONIKA.

Lwów, 1 stycznia,

Jutro:

- 2 stycznia. Niedziela, *Makarego w. i. Martyn, b.*
- Wschód słońca o godzinie 7 minut 58 rano, zachód o godzinie 4 minut 8 wieczorem.
- Dnia tego r. 1805 otwarcie Liceum warszawskiego pod rektorem Lindego.
- O godzinie 3 1/2 popołud. w „Sokole“ kiermasz i wenta na cele dobroczynne.
- O godzinie 3 1/2 popoł. w teatrze hr. Skarbka: „Wesele Fonia“.
- O godz. 7 1/2 wieczór w teatrze hr. Skarbka: „Świerszczyk za piecem“.

Pojutrze:

- 3 stycznia. Poniedziałek, *Daniela m. i. Genow.*
- Wschód słońca o godz. 7 min. 58 rano, zachód o godz. 4 minut 8 wiecz.
- Dnia tego r. 1795 deklaracja Austrii i Rosji o ostatnim rozbiórce Polski; — r. 1820 rozwiązanie w Wilnie Tow. promienistych.
- O godz. 7 wiecz. nadzwyczajne walne zgromadzenie Tow. asystentów budowlanych.
- O godz. 7 1/2 wieczorem w teatrze hr. Skarbka: „Ładny zastępca“.

Następny numer *Słowa Polskiego* wyjdzie w poniedziałek rano, jak zwykle.

Obchód jubileuszu papieskiego. Czytelnia katolicka we Lwowie przygotowuje się energicznie do poważnego obchodu drogiej sercom katolików uroczystości dyamentowego jubileuszu kapłaństwa Leona XIII. Naturalnie brak lokalu odpowiedniego i środki obecne nie pozwalają Czytelni oddać holdu i czci Ojcu św. w sposób, jak to grupują się około Czytelni pragną. Mimo to obchód ten będzie poważny i podniosły. Odbędzie się we wtorek, 4 stycznia o godz. 7. Zaproszenia do wybitnych osobistości kraju rozesyłane.

Program następujący: a) zagajenie prezesa, b) odczyt ks. kan. Teodorowicza o Leonie XIII., c) deklamacja, wiersz Wł. Belzy „Proroctwo Piusa IX.“, d) przemówienie reprezentanta Sodalicyi Maryańskiej akademickiej. Niewykluczone jest przemówienie dostojnika Kościoła.

A oto treść telegramu łacińskiego wysłanego na ręce kardynała sekretarza stanu Rampolli. „Członkowie Czytelni katolickiej we Lwowie proszą Waszą Eminencyę, aby w ich imieniu raczył wyrazić Jego Świątobliwości papieżowi Leonowi XIII. w dniu 60-letniego jubileusza kapłańskiego ich wiarę niewzruszoną i niezmiennie przywiązanie do świętej piotrowej Stolicy. Nigdy nie ustajemy w prośbach naszych do najlaskawszego Boga, aby Ojca św. Leona XIII. w jak najdłuższe zachowywał lata. Korzystając z upragnionej sposobności, prosimy o błogosławieństwo Apostolskie.

Thulie, prezes Czytelni“.

W stanie zdrowia ulubionego i cenionego artysty p. Gustawa Fiszera, nastąpiło już stanowcze przesilenie. Artysta przebył szczęśliwie groźną chorobę tyfusu i znajduje się obecnie w stadium rekonwalescencji, której prawidłowy przebieg każe spodziewać się rychłego powrotu do zdrowia.

Szematyzm Galicyi na rok 1898, z powodu organizacji władz sądowych, wyjdzie dopiero przy końcu stycznia 1898 r.

Styczniowy awans na kolejach państwowych obejmuje skutkiem tego, że niedawniej, jak w czerwcu r. z. awansowano znaczną liczbę urzędników — tylko te posady, które opróżniły się skutkiem śmierci, spensjonowania lub ustąpienia ze służby dzierżących je funkcyjaryuszów. Ogółem awansowano 345 urzędników, a mianowicie:

- 1 do VI. kl. (inspektor)
- 34 „ VII. „ (starszy inżynier etc.)
- 67 „ VIII. „ (inżynier etc.)
- 125 „ IX. „ (inżynier-adyunkt etc.)
- 118 „ X. „ (inżynier-asystent etc.).

Oprócz tego posunęło się normalnie 124 urzędników VIII. kl. na wyższy stopień płacy.

Awans styczniowy okazał się łaskawym szczególnie dla techników.

Z ogólnej liczby awansowanych jest techników 21 w kl. VII., 8 w kl. VIII., a w kl. IX. i X. wszyscy, którzy znajdowali się dotąd w X. i XI. kl.

Przy awansie do kl. VIII. uwzględniono przede wszystkim adyunktów z kl. IX., którzy największą liczbą lat służby wykazać się mogli.

† **Józef Łoziński**, urodzony w r. 1827 na Wołyniu, zmarł wczoraj wieczorem we Lwowie.

Ojciec jego był żołnierzem w r. 1831 i odumarał go w dzieciństwie, na emigracji, w Paryżu.

Ś. p. Józef kształcił się w Krakowie, z kąd, po ukończeniu wydziału filozoficznego przeniósł się do Poturzy, a następnie do Lwowa, w charakterze kierownika biblioteki Włodzimierza hr. Dzieduszyckiego, które to stanowisko opuścił zaledwie przed kilku laty, przenosząc się na emeryturę. W tym czasie redagował także przez lat kilka *Lowca*.

Ś. p. Józef Łoziński brał żywy udział w organizacji powstania 1863 r. Był to człowiek idealnie prawego charakteru, zaś jako długoletni kierownik biblioteki hr. Dzieduszyckiego zapisał się jak najlepiej w pamięci kształcącej się naówczas młodzieży, postępowaniem bowiem serdecznym i nadzwyczajną uprzejmością potrafił ująć sobie każdego.

Cześć jego pamięci!

Otrzymanie świadectwa ubóstwa do procedury cywilnej z zaprowadzeniem w życie nowej procedury cywilnej zależnem będzie od pewnych formalności,

W tej mierze ogłasza magistrat następujące prawidła obowiązujące we Lwowie:

1. Do wystawienia świadectwa ubóstwa do sporów cywilnych uprawniony jest komisaryat dzielnicy miejsca zamieszkania.
2. Świadectwa wystawiane być mają na osobnych blankietach drukowanych.
3. Świadectwo podpisują obok komisarza dzielnicy także właściciel domu i przełożony duchowny — jeżeli zaś ci podpisu swego odmówią — rzecz ta musi, być uwiódzoną na świadectwie.
4. Pozostający w służbie jakiegokolwiek mają wykazać swoją zasługę roczną.
5. Po zbadaniu wszystkich okoliczności przez komisaryat — potwierdza ostatecznie świadectwo ubóstwa departament VI. magistratu.
6. Chwilowo we Lwowie przebywający nie mogą tutaj uzyskać świadectwa ubóstwa.
7. Przeciw odmówieniu świadectwa ubóstwa służy rekurs do namiestnictwa ustnie lub pisemnie do dni 14. Przeciw orzeczeniu namiestnictwa niema dalszych środków prawnych.

Poranek mickiewiczowski odbył się 19 grudnia w szkole żeńskiej imienia Czackiego, dzięki inicjatywie kierowniczkii pani Skrzyńskiej, a w obecności dra W. Holzera, który jako opiekun zakładu z ramienia Rady szkolnej okręgowej świadczy wiele

dobrego ubogiej działwie. Wszystkie produkuje jak odczyt, śpiewy i deklamacye, ożywione były duchem *szczęsne* polskim, wszczepianym systematycznie w małą gromadkę, wychodzącą wprost z zaułków lwowskiego *ghetta* i stykającą się tutaj po raz pierwszy z inną kulturą. aniżeli ta skostniała, talnudyeczna, jaką tysiącom dzieci żydowskich dostarczają chajdery. Na podniesienie zaś służy piękny odczyt o Mickiewiczu, wygłoszony przez nauczycielkę p. Ambesówną.

Pożar baraku. Około 12 w południe wybuchł wczoraj pożar w baraku robotników z kamieniołomu na górze „Piaskowej“. Barak znajduje się na gruntach zakładu dla nieuleczalnych pod wezwaniem św. Józefa, położonych obok Lonszanówki (Kaiserwald). Ogień rozpoczął się wewnątrz domu, a w chwili, gdy przybyła straż pożarna, objął już dach cały. Akcja ratunkowa straży ograniczyła się tylko na zalaniu ognia wodą, by ratować drewniany zrab domu, co też się w zupełności powiodło.

Z miasta odbieramy list następujący od jednego z naszych przyjaciół: Jakie jest bezpieczeństwo publiczne we Lwowie, świadczy fakt, który może innym posłużyć za przestrożę: Wczoraj o godz. 5 pop. szły córki moje z ciotką ulicą Kopernika. W pobliżu stacyi tramwaju elektrycznego, podeszło do nich dwóch wyrostków i jeden z nich zerwał córce z ramienia łyżwy a następnie z łupem obaj zbiegli. Lecz co w tej sprawie najsmutniejsze, że oprócz przestachu, ostrze łyżwy w skutek szarpnięcia z tyłu, skaleczyło córkę w usta tak, że dłuższy czas krwawiły.

Za obrazę majestatu skazany został onegdaj, przez zwykły trybunał, na cztery miesiące więzienia niejaki Karol Szustrowski, majster murarski i właściciel realności na Zniesieniu.

Kradzieży w sklepie Staubera dopuścił się onegdajszej nocy dozorca domu Różycki. Działając w porozumieniu z pokojówką Staubera „panną“ Maryanną Kubiniak, przy pomocy otrzymanych kluczy, dostał się do sklepu i zabrał stamtąd 3 żakiety i 2 paletoty, łącznej wartości 162 zł. Szlachetną spółkę wraz z Harasymem Tybinką, dozorcą w Ryńku pod l. 35, gdzie rzeczy były przechowane — aresztowano, paletocki wrócili zaś do swego pierwotnego właściciela.

Ogień sufitowy wybuchł wczoraj rano o godz. 7-mej w kamienicy pp. Wczelaków przy ul. Łyczakowskiej. Przyczyną, jak zwykle, zajęcie się belki sufitowej od komina. Straż pożarna, wezwana na miejsce, usunęła niebezpieczeństwo.

Wdowie po murarzu, o której wyjątkowej nędzy donosiliśmy zeszłego tygodnia, wręczyliśmy na dniu wczorajszym, złożonych w naszej administracji 19 zł., z których 8 zł. użyliśmy na zapłacenie komornego, resztę zaś daliśmy do rąk nieszcześliwej, na zaopatrzenie dzieci, oraz czasowe chociażby podźwignięcie się z niedoli. W jej imieniu zasylamy serdeczne: Bóg zapłać! szlachetnym ofiarodawcom, upraszając zarazem o łaskawe nadsyłanie na ten sam cel dalszych datków.

Śmierć na bójka. Stanisław Urbanowski, dozorca zwrotnicy kolei państwowej w Swoszowicach, we wtorek przed południem dnia 28 z. m. pokłócił się ze swoim zastępcą Stanisławem Gajdą. Urbanowski w zapalczywości pchnął nożem Gajdę w gardło, zadając mu śmiertelną ranę. Lekarz kolejowy ze Skawiny dr. Nawrat, przywoził osobiście nadzwyczajnym pociągiem Gajdę o godzinie wpół do 1-szej w południe do Krakowa, gdzie wezwano dla przewiezienia ranego pogotowie ratunkowe. Gajda jednakże przed przybyciem na dworzec wyzionął ducha. Ciało odwie-

kszyć moje furdusze. Po raz pierwszy w mem życiu rozmyślałem nad tym tematem, chociaż później w życiu niejedną noc poświęciłem podobnym rozmyśleniom.

Przypomniałem sobie wówczas, że jeszcze w przeszłym roku, gdy mi było całkiem dobrze, pożyczylem w Stanisławowie dwom kolegom po kilka reńskich. Jednym z nich był Mundek Poterski, syn starosty, któremu dałem trzy guldeny. Drugi zaś Frano Sobol, nasz „pierwszy celujący“ syn biednego mieszczanina z Łyśca, czy Bohorodczan. Mundek nawet pisał w tym już roku do mnie do dworu, żebym do niego przyjechał, bo on jest zagrożony chorobą serca i uczyć się dalej nie może, donosił, że ojciec jego jest obecnie starostą w Bóbrce.

W tej chwili przypomniałem sobie, że mi żyd mówił, iż kolej żelazna przechodzi przez Bóbrkę, postanowiłem więc w pierwszej linii pójść do Bóbrki, odwiedzić Mundka, zwiększyć swoje zasoby pieniężne odebranymi od niego trzema guldenami, a później puścić się do Stanisławowa, na egzekucję do Sobola. Z tym wiedziałem, że będzie trudno, bo był bardzo ubogi i z lekcyi się utrzymywał. Uczuwałem nawet pewien wstręt do takiego egzekwowania swych wierzytelności, lecz pomyślałem:

— W zwykłych warunkach, pewno żebym go nie dusił, ale wobec tego, że dziś sam nic nie mam i nie mam zapewnionego jutra, musi wybaczyć.

Ten *czaz* o „niezapewnionem jutrze“ bardzo mi się naivët był podobał i powtórzyłem go sobie w pamięci kilka razy, tak, żem już stale uważał siebie za człowieka o niepewnem jutrze.

Zrobiwszy w ten sposób postanowienie, przystąpiłem natychmiast do wprowadzenia go w czyn.

W ciągu wadranza doszedłem do linii kolei żelaznej. Przy pierwszej budce wdałem się w rozmowę ze strażnikiem, z której dowiedziałem się, że miasteczko Bóbrka leży o kilka kilometrów od sta-

cy Bóbrki... Że do miasteczka jest bliższa droga wprost ze stacyi w Starem Siolu, przez las sosnowy. Wreszcie, że jest teraz godzina w pół do drugiej.

Pożegnałem strażnika najpiękniejszym ukłonem, na jaki się zdobyć mogłem i zacząłem maszerować do Bóbrki tak szybko, jak tylko mogłem.

Jedynem mojem pragnieniem wówczas było dostać się koniecznie do Bóbrki; bałem się nocy i lasu sosnowego.

Pamiętam, że w czasie tej pospiesznej perygrynacji, przechodziłem obok jakiegoś kościółka, przy którym było małe, schludne probostwo. Otóż z kuchni owego probostwa zalatywał tak miły zapach świeżo pieczonego chleba, że stanąłem na chwilę i wciągałem nosem ten zapach, rozkoszując się. Głodny bo też byłem potężnie...

Za dnia jeszcze minąłem stacyę „Stare Siolo“. Rozpytałem się dokładnie o drogę i puściłem się do obcego straszego lasu sosnowego.

Uczuwałem małe dreszcze. Byłem zgorączkowany, zmęczony i głodny. Po głowie snuły mi się jakieś halucynacye i dziwne marzenia. Przypomniałem sobie wówczas, że w rodzinie mej była tradycja, że mój prapradziad po konfederacyi barskiej pojechał był jako tłumacz z jakimś Potockim do Konstantynopola. Potockiego wysłała generalicya, jako posła, tymczasem on ani po turecku nie umiał, ani pieniędzy na drogę nie miał; przodek mój miał trzos nabity i mówił doskonale kilku wschodnimi językami. Pożyczył więc pieniędzy panu Potockiemu i obaj wyrabali się w podróż — z której nie powrócili do ojczyzny. — Gdzieś pod Warną zamordowali ich bułgarscy rabusie... Podanie to przypomniało mi się w owej chwili z całą siłą, a rozgorączkowana wyobraźnia skojarzyła je natychmiast z faktem, że Stare Siolo należało do rodziny Potockich. Ułożyłem sobie więc, że w tym strasznym sosnowym lesie spotkam się z jakimś młodym Potockim, że się

z nim zapoznam, że on na dźwięk mego nazwiska przypomni sobie także stare podanie i powie mi, że za krzywdę, która się stała memu prapradziadowi, on potomek Potockich chce mnie wynagrodzić, że ofiaruje mi swą przyjaźń dożgoną... Później snuły się w mej wyobraźni fantastyczne obrazy naszych wspólnych wypraw myśliwskich i walk homerycznych gdzieś w dzikich krajach.

Marząc tak na jawie, zbliżałem się do lasu. Nagle do mych uszu doleciał głos jakiegoś śpiewu. Wytężyłem oczy wśród zapadającego zmroku i ujrzałem na kilkadziesiąt kroków przed sobą człowieka, idącego pospiesznym krokiem i wymachującego jakimś przedmiotem nad głową... Byłem pewny, że to ten wymarzony Potocki i przyspieszyłem kroku.

W miarę naszego wzajemnego zbliżania się, słowa śpiewanej piosnki dochodziły do mych uszu coraz wyraźniej. Była ona co najmniej dziwna w ustach hetmańskiego potomka.

Przechodzień śpiewał z szynkowem zacięciem:

- „Kutra nima kawalirza, kawalirza,
- „Niech do karczmy nie zazirza, nie zazirza.
- „Bo ni pije, ni tańcuje,
- „Tylko drugim przeszkadzuje!“

Usłyszawszy to, zmiarkowałem odrazu, że to nie Potocki, ale też zrozumiałem, że spotkanie z takim „wesołym pasażerem“ w czystym polu pod noc, nie jest bardzo bezpieczne, nie było już jednak sposobu skryć się, bez zwrócenia na siebie uwagi, szedłem więc, nadrabiając miną.

Nareszcie spotkał się. Spojrzałem na przechodnia, był to obdarty oberwaniec w poszarpanym kapeluszu i dziurawym surducie. Twarz miał czerwona i był najwyraźniej pijany.

— Dobry wieczór, kolego! — zawołał — zatrzymując się.

(C. d. n.)

ziono do zakładu medecyny sądowej. Urbanowskiego aresztowano.

Stado wilków w drodze ze Zbaraża do Zurbinie zagryzło właściankę z dzieckiem.

Rudolf Mosse w Berlinie (ekspedycya anonsów) wydał na rok 1898 kalendarz, zawierający spis gazet niemieckich, austriackich i szwajcarskich oraz wybitniejszych pism w innych krajach wydawanych. Praktyczny to bardzo podręcznik.

Mianowania. Cesarz zamianował radcę ministeryalnego w min. sprawiedliwości dr. Wojciecha Gertschera generalnym adwokatem przy najwyższym trybunale sądowym i kasacyjnym i nadał mu krzyż kawalerski orderu Leopolda.

Prezydum krajowej dyrekcji skarbu zamianowało conceptowego praktykanta skarbu Stanisława Rzędę conceptu skarbu w X. klasie rangi dla służby podatkowej I. instancji.

Lwowski wyższy sąd krajowy zamianował asystentami okręgu lwowskiego wyższego sądu krajowego praktykantów sądowych: Zygmunta Jackowskiego, dr. Tadeusza Lachawca, Piotra Zaczka, Aleksandra Kozioła i Stanisława Gawędę, tudzież kandydata advokatury Tadeusza Bosakowskiego.

Ze sfer kolejowych. Przeniesieni: Inżynier adjunkt Władysław Dzieślewski z Rohatyna do ogrzewalni w Jasle; asystent Mieczysław Dąbrowski z Bochni do Biadolin.

Magistrat m. Lwowa ogłasza konkurs na posadę adyunkta miejskiego urzędu budowniczego. Termin do końca stycznia.

Do „Związku rodzicielskiego“ można się zapisywać w biurze miejskiej Rady szkolnej okręgowej w ratuszu.

Wenta gospodarska urządzona w sali „Sokoła“ w dniu 19 z. m. na rzecz „Domu pracy“, przyniosła czystego dochodu 2.235 zł. 78 ct.

W Czytelnici dla kobiet odbędzie się 3 stycznia o godz. 6-tej wieczorem wspólny opłatek, na który wydział Czytelnici członków swych uprzejmie zaprasza.

Jubileuszowe przedstawienie kółka amatorskiego Stow. „Gwiazda“ z okazji 20-tej rocznicy istnienia, odbędzie się dziś dnia 1 stycznia w lokalu własnym, przy ul. Franciszkańskiej. Członkowie Stowarzyszenia odegrają „Zabobon“ czyli „Krakowiacy i górale“, operę narodową w 3 aktach J. N. Kamińskiego. Początek o godz. 7 wieczorem.

Raut kolejowy. Wgmachu dyrekcji kolei państwowych przy ul. Krasickich odbędzie się w dniu 4 stycznia raut, z którego czysty dochód, przeznaczony na „kolonię wakacyjną dla dziatwy kolejarzy“ Kolonia ta znajduje się w uroczym położeniu w Worochcie. Zabawa odbędzie się pod protektoratem dyrektorowej p. Julii Wierzbickiej, komitet ściślejszy zaś stanowią pp. inżynier Drownowski, Götz, Guttman i dr. Zgórski. Bilety wstępu uprawniają już do korzystania z bufetu.

W miejsce noworocznych powinszowań złożyli w administracji:

Pan Z. G. dla rodziny murarza na Cetnerówce, 1 zł.

Państwo S. L. Syroczyńscy na ubogich m. Lwowa 2 zł. 50 ct., na weteranów z r. 1831 2 zł. 50 ct. P. Karol Bayer na Tow. szkoły ludowej 10 zł., i dla uczestników powstania z r. 1863 10 zł.

Dr. A. M. 1 zł. na gimnazjum w Cieszynie. Prof. Bałasits na weteranów 1831 r. 8 zł. Marya Bielska 2 zł. na Związek rodzicielski. Józef Kubicki 1 zł. na powstańców 1863 r.

Czytelnikom i Przyjaciółom naszego pisma zasylamy z okazji N. Roku serdeczne życzenia.

Gawalewicz o Zanie.

Dla dziejów piśmiennictwa naszego, a zwłaszcza dla jego doby Mickiewiczowskiej, treść kroniki tygodniowej M. Gawalewicza w ostatnim tegorocznym numerze *Tygodnika Ilustrowanego* posiada niepoślenie znaczenie.

W kronice tej zdaje M. Gawalewicz sprawę z wycieczki swojej, której celem było przejrzenie rękopismiennej spuścizny po Tomaszu Zanie, tym przyjacielu serdecznym Mickiewiczowi, tak ważną odgrywającą rolę w pierwszej epoce twórczości wielkiego poety.

Rękopisy te znalazł M. Gawalewicz w Poniemoniu, guberni suwalskiej, w domu p. Abdona Zana, syna Tomasza, a w rękach pani Brygidy Zanowej, wdowy po śp. Tomaszu, przechowującej z czcią wielką te drogie po mezu swym pamiątki.

Wziąwszy się do przeglądania owych rękopisów, stanowiących około trzydziestu grubych tomów *in folio* lub *in quarto*, zapisanych własną ręką Tomasza Zana, znalazł w nich p. Gawalewicz:

Najszczególwszy jego dziennik z pobytu w Orenburgu, spisany przez lat trzydzieści setki jego listów do przyjaciół młodości i kolegów uniwersyteckich; obfitą korespondencję, prowadzoną aż do śmierci z Maryllą, z Małewskimi, z Suzinem, Chodźką i wielu innymi; ważniejsze dokumenty, dotyczące jego pobytu w Wilnie, ukończonych studyów i egzaminów na kandydata filozofii i magistra wydziału matematycznego, procesu filareckiego i urzędowania w służbie rządowej; wszystkie poezje, bądź to przepisane na czysto, bądź to w brulionach, szkice i plany zamierzonych utworów, notaty do autobiografii, liczne rozprawy filozoficzne, historyczne i społeczne dzieła naukowe, dotyczące geo-

gnozy i fizyografii, badania gór Uralskich, Kirgizy i Baszkiry, ziemioznawcze studia czynione za powrotem do kraju w kilku guberniach litewskich i t. d.

Jak można wnosić z powyższego wykazu, poszukiwacz trafił na źródło niezmiernie obfite, z którego czerpać może pełnymi rękoma, pragnąc nakreślić życiorys Zana. A życiorys to może być nad wszelki wyraz zajmujący, o czym znów świadczą następujące dalsze słowa p. Gawalewicza:

Im głębiej wgrzebywałem się w te foliały i papieryska, tem większy ogarniał mnie podziw nad wielostronnością tego niepospolitego umysłu, a szczególnie nad stroną psychologiczną tej wyjątkowej natury czystej jak kryształ, idealnie szlachetnej...

Zrozumiałem dopiero: jaki i dlaczego tak silny był ten wpływ, który od lat młodzieńczych wywierał Zana na swe otoczenie, z kąd szedł i na czem opierał się ów nieprzeparty urok najszlachetniejszego idealisty-romantyka...

Wobec tego łatwo pojąć, czemu p. Gawalewicz, świadomy mozołu, jaki go czeka nad wydobyciem z tej spuścizny, wyraził w charakterystyce Tomasza Zana, nazywa tę pracę: niezmiernie wdzięcznym zadaniem. Tak, istotnie zadanie to wielce wdzięczne i jesteśmy pewni, że wzięwszy się do dzieła, wywiąże się p. Gawalewicz z niego dobrze i da nam ciekawy portret literacki „arcyprymienistego“ założyciela Filaretów, na które piśmiennictwo nasze już tak dawno czeka.

Zapiski ze sztuki i literatury.

Repertuar teatralny. W teatrze hr. Skarbka: Dziś w sobotę popołudniu o godz. pół do 4 „Malka Schwarzenkopf“, sztuka w 5 aktach. — Wieczorem „Świerszczyk za piecem“, opera w 3 aktach K. Goldmarka.

W niedzielę o pół do 4 popoł. „Wesele Fonsia“, krotowhwa w 3 aktach Ryszarda Ruskowskiego — wieczór o pół do 8 (po raz 7) „Świerszczyk za piecem“.

W poniedziałek (po raz 7) „Ładny zastępca“ Krotowhwa w 3 aktach Williama Busmach i Jerzego Duvala, tłum. M. Sachorowski.

Do naszego salonu wystawy obrazów pozyskano w ostatnich dniach znaczną liczbę nowych dzieł sztuki, a mianowicie: Bradisa „Złożenie Chrystusa do grobu“, wielkich rozmiarów obraz, zajmujący prawie całą ścianę pierwszej sali naszej wystawy; dalej Batowskiego „Pożegnanie“, Augustynowicza „Widok miasta Tarnopola“, Beera „Krajobraz“, Grabińskiego dwa widoki „Z okolic Sasowa“ i „Z nad stawu“, Gramatyki „Potok leśny“ i „Widok wiejski“, Harasimowicza dwa krajobrazy „Moczar“ i „Zachód słońca“, Kruszkowskiego „Madonna“ i „Widok na Lwów z Pałacu Sztuki“, Makarewicza „Pierwsze korale“, Rozwadowskiego „Huzar“ i „Na kwaterze“, Stachiewicz „Legenda o górniku“, Szwałkowskiej „Kolejka studyów“, Szczepańskiego „Widok z Parku stryjskiego“, „Spokój“ i „Krajobraz“, Weina Modlitwa“, Winterowskiego dwa „Krajobrazy“ i „Typ chłopca“ (studium).

Do działu zaś portretów nadesłali: Augustynowicz „Portret Ordynata Czarkowskiego“ i p. „Niemczynowskiego“, Daczyński „Portret panny P.“ (pastel); Dulebianka Marya „Portret pani Konopnickiej“, Harasimowicz „Portret p. Niewiadomskiego“ i Kotowski Damazy „Portret p. drowej Sielskiej“.

Czytelnia akademicka przesłała dyrekcji teatru w Lublanie telegram, z powodu wystawienia wczoraj „Halki“ na scenie tego teatru.

Telegramy „Słowa Polskiego“.

Wiedeń, 1 stycznia. *Militär-Verordnungsblatt* ogłasza mianowania poruczników rezerwowych, a mianowicie: 1.348 w piechocie, strzelcach, pionierach oraz pułkach kolejowych i telegraficznych, 179 w kawalerii, 158 w artylerii polowej, 54 w artylerii fortecznej, 13 w oddziałach sanitarnych, 153 w trenie.

Dalej ogłoszone są nominacje kadetów rezerwowych zastępców oficerskich, a mianowicie: 697 w piechocie, strzelcach, pionierach itd., 6 w kawalerii, 153 w art. pol., 8 w art. fortecznej, 16 w oddz. sanitarnych, 9 w trenie; nadto mianowania kadetów rezerwowych: 784 w piechocie itd., 96 w kaw., 215 w art. polowej, 61 w fortecznej, 14 w oddziałach sanitarnych i 155 w trenie.

Wiedeń 1. stycznia. Gautsch usiłuje znowu nawiązać stosunki z przywódcami Niemców w Czechach i zaprasza ich, by w dniu 3. b. m. stawili się na konferencję, na której omawiano sytuację polityczną. Konferencja ta odbędzie się w Wiedniu.

Wiedeń, 1 stycznia. W ministerium oświaty obradowała w dniach 28-go i 29-go bm. komisya, mająca ułożyć normalny plan dla szkół realnych.

W mowie wstępnej minister oświaty objaśnił, że nie potrzeba naruszać podstaw organizacji szkół realnych, gdyż na tych podstawach osiągnięto uznania godne rezultaty, zdolne chyba wzmoć, a nie uszczuplić zaufanie do owych szkół. Pod dyskusję będą poddane te tylko kwestye, które nie przekraczają ram dzisiejszej organizacji, gdyż z jednej strony niema powodów do radykalnego przeistoczenia owych szkół, z drugiej zaś strony wobec zawiązków stosunków prawodawczych trudno byłoby się spodziewać przeprowadzenia daleko sięgających ulepszeń.

Komisya doszła do porozumienia co do środków, za pomocą których dałoby się usunąć bezsprze-

czne przeciążenie w szkołach realnych bez naruszenia dzisiejszej organizacji, a więc co do zmniejszenia liczby godzin szkolnych dla przedmiotów z zakresu matematyki, przyrodoznawstwa, jako też rysunków, z drugiej zaś strony co do podwyższenia liczby godzin dla przedmiotów z zakresu lingwistyki i geografii.

Zgodzono się także na zaprowadzenie powszechnej nauki religii w wyższych szkołach realnych.

Wiedeń, 1 stycznia. Do *Wiener Allg. Ztg.* donoszą z Pragi: Głoszą tu jako rzecz pewną, że niemieccy posłowie wezmą udział w obradach Sejmu.

Ze strony niemieckiej okazują chęć wejścia w porozumienie z rządem.

Jakoż *Prager Abendblatt* twierdzi, iż horoskop Nowego Roku układa się wcale pocieszająco, i że nie brak danych, które każą wnosić, że po wzburzeniu ostatnich miesięcy nastąpiło pewne otrzeźwienie, pozwalające spodziewać się nastania ery pokojowej. Jakkolwiek bowiem w obecnej chwili nie ma jeszcze mowy o naprawie pokojowemu usposobieniu, ogarnia jednak wszystkie sfery pragnienie pokoju, które przy zręcznym wyzyskaniu ze strony powołanych czynników, może utorować drogę porozumieniu.

Paryż, 1 stycznia. Obróńca Esterhazygo Tzenas, oświadczył, że pomimo wniosku sędziego śledczego na zawieszenie śledztwa, Esterhazy zostanie się przed sąd wojenny, który zwołany ma być na przyszły czwartek.

Wysokie koła wojskowe pragną sprawę jak najszybciej ułożyć, ale należy spodziewać się — mówi Tzenas — że mimo to dla obrony wyznaczonym zostanie czas dostateczny dla przestudyowania materiału i poczynienia potrzebnych przygotowań.

Marsylia 1 stycznia. Cesarzowa Elżbieta rozpocznie jutro w razie sprzyjającej aury, podróż swą wzdłuż wybrzeży morza Śródziemnego na yachcie Miramare.

Londyn, 1 stycznia. Policyjna rozprawa przeciw Burcewowi i Wierzbickiemu ukończyła się oddaniem obu pod sąd przysięgłych.

Brussels, 1 stycznia. Księżna Elwira Trubekoj z powodu oszustwa na sumę 800.000 fr., dokonanych we Francji, Belgii, Niemczech i Szwajcaryi została uwięziona przez policję w Liège.

Bukareszt 1 stycznia. Senat przyjął 78 głosami przeciwko 2 przedłużenie prowizorycznego układu handlowego z Bułgarią.

Treść numeru noworocznego.

- 1) Władysław Betza (poezya) — Na powitanie Nowego roku 1898.
- 2) Witold Lewicki — Obrachunki polityczne za rok 1897.
- 3) (Z) — Listy wiedeńskie.
- 4) Stanisław Schnir-Pełowski — Kronika literacko-artystyczna za rok 1897.
- 5) Q. — Austriacka statystyka kolejowa za r. 1896.
- 6) Enigma — Obrachunek ziemiański na rok gospodarski.
- 7) E. Lwowski — Salon sztuki.
- 8) Irena Mrozowicka — Koniec świata.
- 9) h. n. — Z bajek nowożytnych.
- 10) I. Moszczeńska — Matka.
- 11) M. Rodoc — Dramat zalotnej kobiety, (poezya).
- 12) B. Ursa — Nowe pieśni.
- 13) Wasyl Szczurat — Ze współczesnej poezji ruskiej. — Bajka o zadowolonym człowieku.
- 14) Bolesław Lewicki — Miłosierdzie.
- 15) Zawrat — Prelud, (poezya).
- 16) Henryk Biegeleisen — Myślenie społeczne Irydionu.
- 17) Jan Styka — Panteon narodowy.
- 18) Dr. Albert Zipper — Goethe germanizatorem Polski.
- 19) Aureli Urbanowski — Wieszcz Firduzi, Henryka Heinego (poezya).
- 20) St. Niewiadomski — Zapomniany jubileusz.
- 21) Bolesław Białek — O narodzeniu Chrystusa.
- 22) Anna Neumanowa — Do młodzieży (poezya).
- 23) Józef Makowej — Ze współczesnej literatury ruskiej. Samotny.
- 24) Orwid — Są wędrówne lotne ptaki (poezya).
- 25) H. Nagiel — Noc srebrna.
- 26) St. Rossowski — Artykuł wstępny (poezya).
- 27) Edu. Webersfeld — Z przed 35-ciu laty.
- 28) W. Koszyc — W jaki sposób stałem się sławnym.
- 29) Dr. Fr. Krczek — 2 galeryi indyjskich typów kobiecych.
- 30) (?) — Listy londyńskie.
- 31) Rom. Lewandowski — Napoleon I. w Rosyi.
- 32) K. R. — Z pamiętników p. Goron.
- 33) Miro — Ze spraw miejskich (Dzieje lwowskiego ratusza).
- 34) A. N. — Hodowla kwiatów pokojowych.
- 35) Rozmaitości.
- 36) Rusini w Kanadzie.
- 37) Sprawy bieżące.
- 38) Kronika.
- 39) Gawalewicz o Zanie.
- 40) Zapiski ze sztuki i literatury.
- 41) Telegramy.
- 42) Tygodnik rolniczy i gosp. kraj.
- 43) Dział ekonomiczny.

W felietonie:

- 44) Pierwszy bunt, powieść Abgar-Soltana (Ciąg dal.)
- 45) Rubinowa broszka, powieść z rosyjskiego Niemierowicz Danowenko (Dokończenie).

ANTILENTILIA.

Pończochy damskie i dziecięce, skarpetki męskie i dla dzieci, poleca najtaniej

Jan Dziewoński

Magazyn drobiazgów damskich.

Lwów, Halicka 6.

K. Gostyński & J. Als.

Przedsiębiorstwo (3)

komisów i spedycy

Lwów, pl. Halicki 1. 3.

SPRZEDAŻ

materyałów budowlanych częściowa i całymi wagonami, z pierwszorzędnych fabryk krajowych i zagranicznych, z dostawą na miejsce przeznaczenia

Cement z Ledecz. Wapno hydrauliczne. Gips. Piec kafirowe. Cegły ozdobne. Dachówki zwykłe i szwajcarskie. Płytki posadzkowe. Telefon Nr. 537.

STANISŁAW

LIPNICKI

LWÓW, Grand-Hotel

ul. Karola Ludwika

poleca

!!! NOWOŚĆ !!!

Wodę cudowną

przeciw wypadaniu włosów niezawodnie działającą.

Aparata inhalacyjne i Hegary.

APARATA

kauczukowe przeciw dławieniu się bydła przy karmieniu kartoflami.

FLUID

proszek i wszelkie wyroby aptekarza Kwizdy w Kornenburgu.

Koniak leczniczy.

DLA MAŁYCH MILUSIŃSKICH

Mączka Nestlé, Gueckery, Mączka i Grysik owsiany.

Na św. Mikołaja

i drzewko

kasetki z farbami, wodę kołofonową, perfumy, mydła, obrazki przedstawiające św. Mikołaja i Boże Narodzenie, „Szopki“, pościółki, świeczki i lichtarzyki.

Wałeczki elastyczne

do zaopatrywania drzwi i okien na zimę.

Wszelkie środki do wywabiania plam.

FABBY

do farbowania i szkodkowania spłowiaków materii, ubrań i mebli w pakietach po 6 i 15 ct.

Pendzle i szczotki wszelkiego rodzaju a najbardziej polecenia godne szczoteczki do paznokci po 12 ct. sztuka.

CENNIKI

na żądanie gratis i franco.

„MAROKKO“

tutki cygaretowe z prawdziwej bibułki egipskiej (combustible) wyrabia

fabryka tutek cygaretowych

Elster i Topf

Lwów, ul. Sobieskiego 28.

1000 sztuk w oryginalnym opakowaniu zhr. 1.50. 3000 sztuk rozsyła się franco.

Kupcom znaczny rabat.

Ostrzegamy przed naśladownictwem!

Palcie tutki Niemojowskiego

wszędzie do nabycia.



poleca się — znany handel Władysława ADAMOWICZA w Bródach na pograniczu rosyjskiem w cenie za zhr. 1.20, 1.40, 2.30 i 3.50 za funt. Cennik gratis.

Doskonała kawa 1 kl. zhr. 1.50.

Pyszna herbata 1/2 kg. 3 zhr. 20 ct.

Syrusz. ul. Trzeciego Maja 1. 2, Lwów.

Młodszy magister farmacji poszukuje posady. Adres G. Krysko, mag. farm. w Popielach, p. Borysław.

Do nabycia psieci mi-sięczne rasy St. Bernard, cena większych 20 zhr., mniejszych 15 zhr.

Miód a la Malaga, duża szampańówka po 1 zhr. sprzedaje handel Bodnara, Akademicka 22.

Sypialnia orzechowa i inne rzeczy do sprzedania ul. Trzeciego Maja, II-gie schody, III. piętro przez ganek.

Dzierżawa 400 morgów 7 kilometrów od Lwowa zrazem do objęcia pod warunkami bardzo przystępnymi. Bliższa wiadomość w kancelaryi kapitałowej, plac Kapitałowy 5.

Na czas SEJMU 2 pokoje z przedpokojem. Ulica Trzeciego Maja 13.

Rozmaite prace umysłowe, jako to: Rozwiązania zadań z wyższej i niższej matematyki, wyrachowanie taryf, tłumaczenia, jakoteż ułożenie listów, ofert, ogłoszeń, artykułów do gazet we wszystkich językach europejskich i t. p., wykonuje się starannie i tanio. Adres w aptekarni S. Bodeka, Lwów, Batorego 12.

Do wynajęcia: 3 pokoje, z przedpokojem, kuchnią, strychem i piwnicą na dole w domu przy ul. Zielonej 1. 15.

Wyborne domowe paczki z różą lub konfiturą od piątku począwszy co dzień o każdej porze świeże. Rynek, I. 41, II. p.

Cafe umundurowanie w jak najlepszym stanie urzędnika kolejowego wyższej rangi jest do sprzedania. Bliższa wiadomość ul. Gródecka 35, I. piętro.

Dama w żałobie, będąca na otwarciu sejm, uszczęśliwi kogoś kilku słowami. — Poste-restante, W. Z.

Najmocniejsze kaftaniki, koszule systemu prof. Jägera, sztuka od 54 ct., 62, 75, 95, 1.10, 1.45 do 3.20 poleca

Maks Mühlfeld

Lwów, Rynek 1. 37.

Za darmo może się każdy przekonać, że najlepsze płótna, sztyfny, kolorowe płócienna, chustki do nosa, gotowa bielizna męska i damska, koldry, fartuszyki, najtaniej sprzedaje **Tani sklep** Dominikowskiej, Lwów, Czarnieckiego 1. 1. Cenniki i próbki bezpłatnie.

Omniańska 2, vis-à-vis szkoły przemysłowej 3 lub 5 popoi, przedpokój, niza, spiżarnia, kuchnia na II p. odpowiednie na pracownię lub kancelaryę zaraz do wynajęcia.

Magazyn ubiorów dla panienek chłopców i dzieci **JÓZEFY KIEBEL** Lwów, Halicka 1, poleca najpraktyczniejsze podarunki na gwizdki.

Znajdą umieszczenie natychmiast:

pisarze ekonomiczni, guwernantki, bony niemki i francuzki, panny służące, klucznice, kucharze, kuchelki, lokaje, kre-densowi i wszelka inna kategoria służby. Świadcetwa nadesłać do Biura wywiadów-czego i ogłoszeń

Karola Zakrzewskiego

w Tarnopolu.

Żaden artykuł toaletowy nie może rywalizować pod względem skutku i dobroci z **Antilentilią**. Środek ten otrzymany z odświeżających substancji, zsuwa w krótkim czasie: **piegi, plamy watrobiane, blizny itd.**, nadaje cerze świetną białosć, świeżosć i delikatnosć. — Cena 2 zhr.

JAN IHNATOWICZ

Lwów: (sklepy własne) ul. Kopernika 1. 3., Halicka 1. 11. **Kraków:** Sukiennice 1. 20. **Czerniowce:** Rynek 1. 2.

Ważne dla pp. Przemysłowców, Rolników i Przedsiębiorców budowy!

E. BREDT i S-pka

w Ołtynii

między Stanisławowem a Kołomyją

FABRYKA

maszyn, kotłów parowych i aparatów miedzianych, odlewnia żelaza.

Fabryka

parkietów i deszczułek dębowych

Zatrudnia 400 robotników krajowców.

Dostarcza urządzenia dla wszelkich gałęzi kraj. przemysłu, jako to: Rafinerii nafty, głębokich wierceń i kopalnictwa naftowego, tartaków parowych, gorzeń rolniczych, fabryk spirytusu i t. p. Dostarcza potrzebne aparaty, maszyny i kotły parowe, transmisye, pompy, maszyny i narzędzia rolnicze.

Dla przedsiębiorstw budowy kolei i prywatnie budujących:

Słupy z żelaza lanego, słupy pod rynwy, żelazne kute konstrukcje, rury dochodowe, zapory kanałowe, żelazne schody, tory kolejowe, wózki kolejowe, składy kół, wyciągi czyli windy do budowy. Odlewy w żelazie i metalu, podług własnych i nadesłanych modeli.

Pierwszorzędne referencye i najlepsze świadectwa wybitnych osobistości w kraju mamy do dyspozycyi.

Wszelkie rekonstrukcje i naprawy jak najtaniej.

Ceny umiarkowane.

Ces. król. uprzyw.

Rafinerya spirytusu, Fabryka rumu, likierów i octu

Juliusza Mikolascha Następców

Jakóba Sprechera i S-pki

we LWOWIE

poleca stare wódki polskie, rosolisy, likiery, rumy prawdziwe z Jamajki, koniaki, spirytus, „Bongout“ na nalewki, tudzież prawdziwy ocet spirytusowy.

Składy dla miasta: ulica Halicka 1. 1. — ul. Kopernika 1. 9.

H. Dattnera

jedynie

Biurowie pierwszorzędnych kopalń węgla kamiennego i koksu

we Lwowie ul. Gródecka 3 a. telefon 390 dostarcza do domu znany najlepszej jakości

węgiel salonowy płukany

do opalania pieców i kuchen w workach plombowanych, jakoteż całymi wagonami dla fabryk, gorzeń, młynów parowych, cegielni itp., węgiel wypróbowany i używany przez miejską kolej elektryczną we Lwowie, o najwyższej sile opałowej.

Ceny umiarkowane.

File: Pp. Henryk Mayer, Łyczakowska 1, — Jakób Friedmann, plac Bernardyński 12.

Szanownym P. T. Gościom

zasiłają przy zmianie

Nowego Roku

serdeczne życzenia

z *Lubienia Bratkowscey.*

L. 1299-97

Konkurs.

Na podstawie uchwały Rady miejskiej z 22. grudnia 1897., ogłasza Prezydent Magistratu miasta Lwowa konkurs na posadę adjunkta-mechanika miejskiego urzędu budowniczego z placą roczną 1100 zhr., dodatkiem osobistym do emerytury policzalnym 300 zhr., kwaterowym 300 zhr. i prawem do dwóch dodatków pięcioletnich po 100 zhr.

Kandydaci winni wykazać, iż ukończyli studia techniczne w szkole politechnicznej w kraju lub za granicą na równorzędnych instytucjach publicznych a to na wydziale budowy maszyn (mechaniki), następnie, iż złożyli z dobrym postępem egzamina rządowe dla tego wydziału przepisane a wreszcie udokumentować przebieg dotychczasowego zajęcia.

Pożądaniem jest, aby kandydat prócz powyższych wymogów wykazał się z fachowości i z praktyki w centralnych ogrzewaniach.

Podania ostemplowane należy wnosić do Prezydium Magistratu miasta Lwowa do końca Stycznia 1898.

Lwów 28 grudnia 1897.

IGNACY - FRIED

Najpiękniejszą ozdobą mieszkań

są bezsprzecznie

ładne dywany, ładne portyery i ładne chodniki.

Wszystkie wymienione rzeczy sprzedaje po bajecznie niskich cenach i w największym wyborze

Ignacy Fried

Lwów, ul. Halicka 1. 13.

IGNACY - FRIED

Dobry HERBATE

poleca najstarszy handel

takowej

Izydor Wohl

we Lwowie

Grand Hotel, pasaż Hausmana 1. 3.

100

gatunków cukrów deserowych, pomadek, czekoladek, owoców kandyzowanych i t. p.

w ozdobnych pudełkach i bombonierkach

o połowę taniej

jak wszędzie.

TOWARY

tylko pierwszej jakości poleca znana już z wyrobów znakomitych

fabryka cukrów i herbatników

Jana Höflingera

Lwów

ulica Teatralna 1. 8

(plac św. Ducha)

Zwraca się uwagę

Szan. Zarządów Dóbr, gorzeń, młynów, tartaków, klasztorów, oraz wszelkich większych zakładów przemysłowych, że

„PIROLINY“

najlepszego i najodpowiedniejszego środka do oświetlania budynków gospodarczych, którego stosownie do nafty o 50% mniej wychodzi, przyczem nie kopci

daje ładne i spokojne światło, a co najważniejsze, że jest niezapalnym, a dla swych zalet już bardzo

został rozpowszechnionym

główny skład

znajduje się u

ALOJZEGO HÜBNERA

Lwów, Rynek 38.

Cennik i prospekty wysła się gratis i franco.

MIÓD PANIEŃSKI

dziesięcioletni

odznaczony złotym medalem na Wystawie krajowej, tudzież uznany przez najznakomitsze osobistości za bardzo dobry. Środek niezawodny w osłabieniu nerwowym i przewodów pokarmowych, napój podniecający siły chorych, krzepiący rekonwalescentów, podtrzymujący zdrowie. Jedna flaszk szampańska 1 zhr. 10 ct. (dwie flaszk idą na paczkę 5-kilową). Nabyć można w Administracji Bartnika, Lwów ul. Łyczakowska 93.

Pyroline

jako najlepszy i najtańszy środek do oświetlenia budynków gospodarczych, gorzeń, młynów, tartaków i t. p. poleca i utrzymuje na składzie główny zastępca dla Galicji i Bukowiny

ANTONI KÖFLER

Lwów, Brajerowska 14.

Odsprzedającym stosowny rabat.



Przeciw zimnu i wilgoci ochraniają jedynie moje sławne na cały świat

Oficerskie koce na konie

które wszyscy gospodarze, posiadacze koni, rządcy dóbr uznają za najlepsze, gdyż są ciepłe, trwałe i nie do zniszczenia. Moje koce bardzo dobrze przylegają, dadzą się zatem użyć jako ciepłe przykrycia zamiast kolder. Są one bardzo wielkie z żywymi bordurami i krajami i kosztuje sortu A. zhr. 1.60, sortu B. zhr. 2. O ziółym wóście koce sjańskie dubie, z bordurą o kilku kolorach pierwszej jakości, 2 metry długie, 1 1/2 metra szerokie zhr. 3.50 za sztukę.

Przesyłka pod gwarancją za po-braniem. Jedynie miejsce zamówień

M. RUNDBAKIN

Wien, II. Grosse Pfarrgasse 25 s

Reumatyzm

gościec, kurcze, suche bole, bole przy influencyi

koi i leczy w zupełności

SAPOMENTHOL

najlepsze nacieranie usmierzające

wyrobu Eugeniusza Matuli, apt. w Radomyszu koło Tarnowa.

Cena 70 ct. za słoik.

Do nabycia w każdej większej aptece. — Składy główne: we Lwowie apt. Mikolasch, Krzyżanowski; w Krakowie apt. Wiśniewski, drog. Zoppot i Sp.; w Podgórzu apt. Dyonizy Matula; w Kopyczyńcach apt. Reder; w Tarnowie apt. Sokalski; w Gródku aptek. Herscheles; w Przemyśle apt. Mańkowski; w Bielsku apt. Frankl.

Na sezon obecny

znana z taniości i doborowego kroju

Flia wiedeńska

TIRINGI BRACIA

we Lwowie Jagiellońska 2.

poleca

ogromny wybór gotowych ubrań męskich i dziecięcych,

Ceny bajecznie tanie.

Wszelka konkurencja wykluczona.

Ubrania marynarskie od 12 zhr., paloty zimowe od 13 zhr.

Założony w r. 1855.

DRUKARNIA SŁOWA POLSKIEGO

we Lwowie, ulica Chorażczyzny I. 17.

aopatrzona w wielki dobór pisma najnowszego kroju, klisze i ozdoby; przyjmuje wszelkie roboty w zakres drukarstwa wchodzące.

Druk uskutecznia się na maszynach rotacyjnych, zwykłych, amerykankach i bostonkach.

Stereotypia.

Maszyny do cięcia i gładzenia papieru.

Zakład poruszany siłą elektryczną.

Zwraca się uwagę stron interesowanych, że Drukarnia jest w możności w ciągu dnia jednego dostarczyć kilkaset tysięcy egzemplarzy druków po cenie wyjątkowo niskiej.

Ceny na wszystkie druki przystępne.